Nr. 12. Lwów, 15. Marca 1886. **Rok I.**

STRAŻNICA POLSKA

PRENUMERATA
na „Strażnicę polską“ wynosi:
Kwartalnie:
We Lwowie: bez przesyłki 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 60 „
Na prowincyi: . . . . 1 „ 70 „
Za granicą: . . . . 2 „ — „

PISMO
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE
wychodzi
dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.
Pojedynczych Nrów nie sprzedaje się.

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy
pod adresem
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“
na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego,**
Lwów, Rynek l. 9.

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych we Lwowie orzekł na mocy §. 489 i 493 sp. k. i §. 37. ust. pras., że treść artykułu umieszczonego w numerze 11. czasopisma *Strażnica polska* z dnia 1go marca 1886 pod napisem: „Gospodarka wiedeńskiego Boden-Credit Anstalt w dobrach Nadwórniańskich i p. Rudolf Gablenz“ — zawiera znamiona występku z §. 300 u. k. zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma. W skutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnienie tego artykułu, a zabrany nakład ma być zniszczony.

Powody: W artykule powyż przytoczonym zawarte są znamiona występku z §. 300 u. p. przeto uchwała zatwierdzająca konfiskatę takowego jest uzasadnioną.

C. k. Sąd krajowy karny

Lwów, dnia 10. marca 1886.

Poglies.

Od Redakcyi.

Z numerem dzisiejszym kończy się drugi kwartał wydawnictwa „Strażnicy polskiej“. Odbierając z różnych stron dowody uznania, redakcya może takowe uważać w ten sposób, że zadanie swoje spełnia sumiennie. Zdaje nam się również, iż na każdym kroku dajemy dowody zupełnej niezależności. Sprawy więcej prywatnej natury usuwamy prawie zupełnie, a jeżeli występujemy przeciw niektórym osobistościom z większym naciskiem, to jedynie w tym wypadku, jeżeli sprawa dotyczy szerszego ogółu, i przyczynia się do upadku kraju w moralnem i ekonomicznem znaczeniu. Poruszyliśmy natomiast w tem półroczu takie rzeczy, które mają mianowicie pod względem narodowościowym znaczenie nietylko dla Galicyi, ale dla wszystkich ziem polskich. W tym kierunku zamierzamy iść dalej.

Z przykrością jednakowoż zaznaczyć musimy, iż w Galicyi **żadne pismo**, a mianowicie nie wychodzące codziennie, nie może uzyskać bytu bez ofiar. „Strażnica polska“ jako dwutygodnik, zawiera każdy Nr. tejże dwa arkusze ścisłego druku i tak zapełniona różnorodnymi artykułami, jak żadne inne pismo w kraju, a Szan. Prenumeratorowie na tej zmianie z tygodnika na dwutygodnik muszą przyznać, że nic nie tracą.

Przed rozpoczęciem tego rocznika położyliśmy jak to mówią krzyż na znacznych zaległościach, a o których upominanie się bardzo mały odniosło skutek.

Obecnie jest redakcya w możności zamknąć znowu mniej więcej półroczny rachunek, z którego się przekonuje, że zaległości wynoszą znowu przeszło 400 zł. Niedobór taki jest dla nas nader dotkliwy i stawia redakcyę w bardzo przykrem położeniu.

Odzywamy się więc do tych pp. prenumeratorów, którzy mianowicie za drugi kwartał nie uiścili przedpłaty, aby z takową pospieszyli przed 1. Kwietnia, gdyż w przeciwnym razie wysyłkę dalszych Nrów stanowczo wstrzymamy.

Odzywamy się również do naszych przyjaciół politycznych, o poparcie naszego wydawnictwa przez zachęcenie bliżej znajomych do prenumeraty.

Jeżeli ze wszystkich stron odzywają się głosy, że wydawnictwo „Strażnicy polskiej“ jest „n i e z b ę d n i e p o t r z e b n e“ to też niechże znajdzie i odpowiednie poparcie, jeżeli potrzeba taka nie ma być tylko próżnym frazesem.

Prenumerata na „Strażnicę polską“ wynosi kwartalnie: we Lwowie bez przesyłki 1 zł 50 ct., z przesyłką 1 zł. 60 ct. Na prowincyi 1 zł. 70 ct., Za granicą 2 zł.

Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem: Do administracyi „Strażnicy polskiej“ na ręce p. Szczęsnego Bednarskiego, Lwów, Rynek l. 9.

Redakcya.

Naród a Państwo

(Polityka narodowa a polityka państwowa).

Zuiewoleni jesteśmy przypomnieć naszym czytelnikom artykuł wstępny, podany na tem miejscu w numerze 10. z dnia 15. Lutego, w którym omawiając smutne następstwa fanatyzmu politycznego, rozbudzonego przeciw polskości w Niemczech, ostrzegaliśmy przed **b u d z ą c e m i s i ę p r ą d a m i p a n s l a w i s t y c z n e m i w e w s z y s t k i c h c z ę ś c i a c h d a w n e j P o l s k i.**

Wyraziliśmy tam przekonanie, że prądy dążące do zesłowiańszczenia Polski kosztem jej przyrodzonych cech narodowych, grożą niebezpieczeństwem najbliższym mocarstwom europejskim; że tylko brak zmysłu politycznego może tego nie widzieć i że byłoby interesem owych mocarstw podtrzymać raczej a nie tłumić rozwój narodowości polskiej. Dodaliśmy nadto, że ubolewać należy nad temi objawami, a ubolewać z tego powodu, ponieważ łudzą się owe jednostki i grupy ludzi w

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

12)

(Ciąg dalszy).

L w ó w.

Okuty w kajdany, pod strażą trzech żołnierzy, którzy w oczach moich nabili broń, żegnałem się z Sanokiem i z wolnością, nie wiedząc na jak długie lata. Z modlitwą w ustach, oddając się na wolę Boga Zbawiciela, wyjechałem w głębokiej zadumie z miasta. Tak milcząc i ujechawszy z pół mili, odezwał się pan „freiter“ od regimentu Wilhelma (tabaczkowe wyłogi):

— Co też ksiądz dobrodziej zrobił, że go kazali do Lwowa odstawić?

A ja mu na to:

— Za to, że pokochałem po Bogu mój kraj, gdziem się urodził i wychował, to jest, naszą Ojczyznę, Polskę, że pokochałem lud, którego pragnąłem wyzwolenia. Jako kapłan, przemawiałem w imię Boże do narodu, za co zostałem uwięziony, a bodaj czy mnie i nie powieszą.

— O dla Boga! tak źle nie będzie — zawołał freiter — i tak dalej toczyła się pogawędka. Prosił mię freiter i żołnierze, abym im więcej opowiadał; opowiedziałem im też całe dzieje Polski od pierwszego rozbioru aż do najnowszych czasów. Żołnierze opowiadali znowu to co im mówiono o tej strasznej Polsce dla ludu, jaka miała powstać, lecz i te błędne pojęcie potrafiłem im wyperswadować. Mówiłem im dalej o Wilhelmie Tellu, o dawnych Rzymianach, o Ameryce i to im się bardzo podobało. Tak rozmawiając, przyjechaliśmy bez popasu aż do Dobromila, gdzieśmy odpoczęli, zjedli wieczerzę i obiad razem i przenocowali pod strażą 9 żołnierzy, oraz kilku policajów miejskich, tak się obawiano, abyśmy nie czmychnęli.

Nazajutrz w drodze rozpoczęła się dalsza rozmowa o polskim narodzie, o dawnych dziejach i bogactwie w kraju, o początku pańszczyzny i zaprowadzeniu tejże po całym świecie, w niemieckich, francuskich i angielskich krajach; o rewolucyi w Anglii i w Paryżu, o Bonapartym, o Metternichu, o Moskalach, o upadku Polski, o konfederacyi barskiej, o rzezi humańskiej, o Kościuszce i rewolucyi w r. 1830, i t. d. Żołnierze słuchali ciekawie, nie przerywając. Przyjechaliśmy do Przemyśla na obiad i tu krótko bawiąc, powieziono do Sądowej Wiszni, gdzieśmy drugą noc na gawędzie prawie przepędzili. Na trzeci dzień znowu pogawędka. Obiad dano nam w Gródku, a wkrótce zbliżaliśmy się do Lwowa. Nie daleko od miasta pożegnałem się z mymi żołnierzami, a żegnaliśmy się jak starzy przyjaciele, mieli łzy w oczach i całowali mi ręce.

Zobaczywszy wieże lwowskie, biło mocno serce, nasuwały się przed oczy męczarnie, jakie mię czekają. Woźnica poganiał i trzaskał z bicza przez ulice miasta, aż do bramy więzienia głównego u Karmelitów na Halickiem.

Za danym znakiem rozwarła się brama, jak by paszcza smocza i połknęła mi na 17 miesięcy; chociaż myślałem, że na zawsze.

Zabrzęknęły łańcuchy, skuci złodzieje wylecieli jak szatany, porwali nasze tłumoki, a jednooki cerberus z kluczami wprowadził nas do biura dozorcy głównego więzienia (Kerkermeistra). Tu rozebrano nas do naga. przetrząsano bieliznę, suknie, pościel, buty, zabrano igły, szpilki, scyzoryk, opisano nas zewsząd i zamknięto między złodziejami.

Dostawszy się do tak ślicznej kompanii, zachowałem się biernie i z powagą. Siadłem sobie na mojem posłaniu i zapuściłem się w otchłań myśli. Nawet brewiarza nie chciano mi pozwolić. Wszystkie książki naukowe zabrano, nie dano do użytku, aż po sześciu tygodniach; ale litościwsi byli złodzieje, osładzali mi chwile przez opowiadanie różnych przygód w kradzieżach, o różnych ich sztuczkach i t. p. Między nimi był jakiś panicz surdutowy, z piętnem szelmy na czole. Był to jakiś „mandator“ który siedział za skradzione podatki. Mało się udzielał, a złodziei uspokajał cytowaniem paragrafów. Ci złodzieje mieli między sobą zasłużonego złodzieja, niby króla. Ten uczył młodych, jak mają kraść, jak mają w sądzie odpowiadać na zarzuty. Naśmiałem się nieraz, gdy taki mistrz-złodziej skazał kogo na pytki. Wtedy dwóch ciągło winowajcę za uszy, jeden siadał mu na grzbiet, a drudzy bili pytkami co się wlazło. Raz chcieli taką majówkę i temu surdutowemu sprawić, ale się prosił, a nareszcie groził, że zabije tego, kto pierwszy przystąpi. Porwawszy deskę z pryczy, nią się oganiał. Byłoby mu to jednak nic nie pomogło, gdybym był za nim nie prosił. Musiałem się śmiać, gdy razu pewnego młody wyuczony złodziej w tłumaczeniu pobłądził przed sądem. Gdy z indagacyi powrócił i opowiadał mistrzowi, jak się tłumaczył, a co wcale z jego instrukcyą się nie zgadzało, skazany na pytki tak był bity, że gorzko płakał. Wypłakawszy się, pocałował mistrza w rękę i przepraszal, że go nie posłuchał. Na drugi raz obiecał się poprawić i tak mówić, lak „bat'ko kazaw“.

Polsce, które mniemają, że pod hegemonią Rossyi czekać może Polskę pod sztandarem słowiańskim zbawienie.

Tłumaczymy to jaśniej: Zbawienia nie ma tam, gdzie sztandar jest kłamstwem, i rozpostarty został jedynie po to, ażeby osłonić wręcz odmienne dążności, niż te, które są wypisane na nim. Na chorągwi tej wypisują rossyjscy słowianofile braterstwo ludów, ale dla najbliższych sąsiadów, dla mieszkańców Polski, mają w ustach tylko wyrazy: biada zwyciężonym! Na chorągwi tej wypisują: obrona plemion słowiańskich, ale wobec eksterminacyi pruskiej przeciw naszym rodakom, mają tylko słowa pochwały. Na chorągwi tej nakoniec pisali i piszą wielokrotnie słowa: Celem naszym wyzwolenie całej Słowiańszczyzny, ale na plemię stojące najwyżej pod względem cywilizacyjnym w rodzinie słowiańskiej, słowem na Polskę wołają ciągle i niestrudzenie: *Carthago delenda est*, czyli tłumacząc dowolnie to stare hasło: Polska musi być zdeptaną!

W istotnych więc uczuciach i zamiarach owych pozornych obrońców Słowiańszczyzny tkwi niebezpieczeństwo dla Polski, któreby się wzmogło, gdyby łudzące się w Polsce nieliczne stronnictwa, wzięły pozory za prawdę. Dla mocarstw zaś ościennych niebezpieczeństwo byłoby w tem, że Polska oddana ślepo państwu, podnoszącemu sztandar słowiański, ale obłudny, wzmocniłaby jego potęgę bez żadnej korzyści dla siebie. Wóczas w razie walki śmiertelnej ze światem germańskim, którą przewidują słowianofile, ciosy słowiańskie byłyby pewne, zwycięztwo państwa narzucającego się na opiekuna, — niezawodne, ale zarazem i los Polski byłby zdecydowany. Musiałaby utonąć i jako państwo i jako naród w falach nie Słowiańszczyzny, ale „rossyjszczyzny“ musiałaby uczynić wszystko, czegoby zażądali nieprzyjaciele wzmocnieni jej własnemi ofiarami i krwią na wspólnej widowni wojny, i coby jej nakazali.

Przytoczone wyżej przyczyny zniewoliły nas do ubolewań nad budzącemi się prądami zesłowiańszczenia społeczeństwa w Polsce. Prądy te skonstatowaliśmy w powołanym na czele niniejszej rozprawy numerze naszego pisma.

Do przypomnienia zaś owego artykułu zniewoliła nas okoliczność, że wychodząca w Warszawie *Chwila* powtórzyła go najpierw w całości a w kilka dni obrała go za osnowę do swego wstępnego artykułu. Jakkolwiek zręczności wnioskowaniu *Chwili* odmówić nie możemy, to z drugiej strony nie możemy znowu przyznać jej trafności, a stanowczo zaprzeczyć musimy podsuwanym nam twierdzeniom. *Chwila* upatrzyła bowiem i rzeczy, których nie było w naszym artykule, i myśli, których nie mieliśmy i nakoniec dowiodła, że pomiędzy wierszami czytać nie umie, że czasu i okoliczności, w których artykuł był pisany, zgoła nie rozumie.

Nie zawsze można pisać programy, nie zawsze wolno snuć kombinacye, nie zawsze można podawać rady, choć się złe widzi i nakoniec nigdy prawdziwy i dobry polityk nie mówi, jaką drogę obiera, gdy dawne ścieżki polityczne uważa za błędne.

Chcąc jednak odeprzeć pewne bezpodstawne wnioski *Chwili* i ułatwić czytelnikowi zrozumienie sytuacyi i tego o co nam idzie, przytoczymy od miennem pismem początek wstępnego artykułu *Chwili* i dalszy ustęp najważniejszy. *Chwila* pisze:

„Kilka dni temu pomieściliśmy w naszem piśmie artykuł „*Strażnicy*“ wychodzącej we Lwowie, pod redakcyą znanego p. Gniewosza. W artykule tym autor zastanawia się nad zmianą poglądów politycznych, a jak on powiada „uczuć“ nad zmianą, która się ujawniać poczyna, w znacznej części społeczeństwa polskiego, zwłaszcza to tu w królestwie i ma charakter ciążenia ku Rosyi, oraz ku innym narodowościom słowiańskim. To, co *Strażnica* w tej kwestyi powiada jest tak ze wszech miar ciekawem, że zasługuje na głębsze zastanowienie i bliższy rozbiór“.

W dalszym ciągu streszcza *Chwila* ponownie cały nasz artykuł pod tytułem: *Słowo do urzędowych i nieurzędowych polityków* i tak się odzywa:

„Co nas w tem pisaniu przedewszystkiem uderza?

Oto 1 stwierdzenie faktu, iż w znacznej części społeczeństwa polskiego, pod wpływem okoliczności, nastąpił zwrot w zapatrywaniach na położenie narodu i na drogi polityczne, któremi powinien iść na przyszłość, zwrot manifestujący się w szczerem dążeniu do ugody z Rosyą, na podstawie wzajemności słowiańskiej i na zasadach federacyi 2) zauważenie że ten zwrot może być niebezpiecznym bardziej, dla wielu organizmów państwowych, aniżeli poprzednie dążenia Polaków do odbudowania Polski w granicach 1772 roku. 3) przyznanie tem samem i to przyznanie głośne, oraz wyraźne, że polityka poprzednia Polaków była bezsilną... a więc nieprowadzącą do żadnych realnych rezultatów; była to polityka, która wylewała łzy szlachetne i najczęściej bezsilne. 4) stwierdzenie że za ideałem wszechsłowiańskim stoi potęga, „z którą się świat polityczny liczyć musi“ a więc uznanie pośrednie dla tej polityki, która się do ideałów wszechsłowiańskich zwróciła i wiara w jej realne skutki“.

Otóż przedewszystkiem co do pierwszego: Nie było mowy, że zwrot w zapatrywaniach już nastąpił, lecz była mowa o tem, że pod wrażeniem klęsk istnieją pewne objawy, które mogą zgubnie wpłynąć na uczucia, gdyby poczucie patryotyczne polskie było i dalej wątlone i szarpane. Co do drugiego, prawdą jest, że ten zwrot mógłby być niebezpieczny dla wielu organizmów państwowych. Twierdziliśmy tak i przy tem obstajemy.

Punkt trzeci wnioskowania *Chwili* jest najważniejszy, ale niestety, zarazem i najmniej prawdziwy, najmniej zgodny z istotą rzeczy.

Przyznanie bowiem głośne pewnych ujemnych stron polityków, ale nie polityki, nie jest wykazaniem jej bezsilności. Jest to obowiązek publicysty, który chce sumiennie spełnić swoje zadanie. Nie polityka — jak mówi *Chwila*, wylewała łzy bezsilne, ale wylewali je patryoci ubezwładnieni przez złych i niedołężnych polityków. W dziejach Polski powtarzało się to wielokrotnie, że istotnej siły narodu, politycy jej urzędowi nie umieli lub nie chcieli wyzyskać, niekiedy nie wyzyskali nawet zwycięztw. Ale dopóki Polska była państwem, błędy te nie dawały się tak dotkliwie uczuwać. Po upadku bytu politycznego, dobroduszność mężów stanu paraliżowała zawsze siły i dążności narodu.

Ale zwolennikom panslawizmu idzie o co innego. Panowie ci chcą przedewszystkiem wmówić w naród bezsilność, chcą go zdać na łaskę i niełaskę państwa, podnoszącego sztandar panslawistyczny. To główna pobudka, dla której usiłują przekonać, że naród pokonany stracił wszelkie prawo głosu, że nie powinien myśleć o niepodległości. Jeżeli ich spytacie, czemu? to odpowiedzą jak odpowiadano za Cezarów: biada zwyciężonym. Odpowiedzą też racyą stanu: Nam potrzebna wasza ziemia, potrzebna śmierć narodowości polskiej.

My nie szukamy stron etycznych w polityce, bo to dziś niemożebne, ale pragnęlibyśmy widzieć w społeczeństwie panującem, posiadającem rząd i byt polityczny, przynajmniej jednostki, któreby się wyparły w dzisiejszym wieku solidarności z pojęciami barbarzyńskiemi. Gdzież te jednostki, gdzie grupa tych humanistów w Słowiańszczyznie i tam, gdzie sztandar słowiański podnoszą — gdzie pytamy, skoro idzie o Polskę?

Znani nam dotychczas słowianofile, powtarzają tylko jeden niedorzeczny frazes o przeżyciu się Polski, jako narodu i społeczeństwa. Według starej do śmieci rzuconej teoryi bredzą o starych i młodych narodach, według nakazów z góry paplą, jak papugi za swoimi mentorami, że oni lepiej rozumieją lud polski od inteligencyi polskiej. To samo przecież już nakoniec i urzędnicy pruscy mówią. Czy to nie pocieszne? Byłoby to zaiste bardzo komiczne, gdyby nie było naigrawaniem się z uczuć i przekonań całego narodu.

Chwila nakoniec miesza pojęcia. Nie rozumie, że naród pozbawiony bytu politycznego nie może i nie powinien manifestować zbyt głośno swoich dążności politycznych, że natomiast obowiązany jest do manifestowania swoich uczuć. Gdyby te uczucia i siłę ich umieli byli wyzyskać zręczni politycy, jużbyśmy dziś nie zastanawiali się nad abecadłem politycznem. Co innego bowiem polityka narodowa bez bytu, a co innego polityka państwa. Wylewanie łez nie było polityką, ale wiodło do niej i zawsze poprowadzi do polityki narodowej, idzie tylko o okoliczności odpowiednie a wśród nich o rozum i męża stanu. Skoro naród jakikolwiek przestanie ronić łzy nad hańbą własną, przestanie być materyałem, odradzającym się w duchu swoich tradycyi i swego rodzimego charakteru.

Myśmy zatem nie krytykowali uczuć narodu, które są warunkiem istnienia, ale poli-

---

W tak ślicznem towarzystwie bawiąc, zawszawiłem się okropnie, bo słoma starta i nieczystość złodziei, zbogaciły mię tą chudobą. Złodziej jeden zjadał za mnie obiad i chleb, a ja mając bardzo szczupły zasób, musiałem poprzestać na talerzu rosołu i bułce, za które płaciłem dziennie pół cwancygiera, co dziś wynosi 35 centów. Za to mi złodziej buty czyścił, miejsce ścielał i był grzeczny.

Kaźnia wielka, z 30. złodziejami, śmierdziała okropnie. Do tego dozorca rozgniewany, że złodzieje rozmawiali z „polakami“ na górze siedzącymi, zamknął na kłódkę okna. Stolec, czyli ceber do codziennych potrzeb, nie roznosił woni fiołków. Wikt prosty, w cebrzykach roznoszona sałamacha i rosół podobny do pomyj, rozdawano chochlą, a do której miski, złodziej, przypasany fartuchem szkaradnym, wyjmując z cebra palcami po kawałku mięsa wrzucał. Z początku wzbudzało to we mnie wstręt, odrazę, a nawet wymioty, lecz później przyzwyczaiłem się. Zamknięcie okna było dla mnie torturą.

Gdy mię przywieziono i tu między złodziejami zamknięto, po chwili odetchnienia zapytał mię ten surdutowy: „A zkąd jegomość i za co uwięziony? — Gdy odpowiedziałem, drudzy złodzieje rzekli: — „Tu nad nami siedzą także „polaki“ i czasem z nami gadają. Jeden z nich wylazł do okna i zaczął krząkać, aż mu się z góry ktoś odezwał: — „A co tam?“ —„Jest tu u nas jakiś ksiądz Polak, teraz go przyprowadzili. — „Zapytaj skąd i jak się nazywa“ odezwał się głos, a gdy mu na to złodziej odpowiedział, zaczęli wszyscy na górze stukać w podłogę i niby mię witać. Któryś ze znajomych coś mi kazał powiedzieć, gdy w tem warknęły kłódki i wściekły „pałkarz“ (tak nazywano dozorców) łając złodziei i targając za włosy, zabronił rozmowy przez okno i przez pukanie, grożąc biciem, bukami lub postem, wylazł na okno i zamknął na kłódkę, którego już pomimo prośby mojej i to częstej nie otworzył. Z rezygnacyą znosiłem ten ciężki krzyż, rozchorowałem się na ból głowy, prosiłem o lekarza, który dopiero pojawił się dnia trzeciego. Skarzyłem mu się na bicie krwi do głowy, na smród zabijający, na wikt i na plugastwo. Pan lekarz dobrany do śledztwa, uśmiechnął się złośliwie i powiedział, że się postara o otworzenie okna i inny wikt. Ale upłynęło dwa tygodnie, zanim okno utworzono i strawę zamieniono na szpitalną. Strawa szpitalna, czyli dla chorego, składała się z jednego funta chleba pytlowanego (chociaż według przepisu miało być dwa funty), z rosołu, najszkaradniejszego mięsa i jakiej jarzyny. Na rano kwaterka mleka, rozbebłanego w połkwarcie wody! Tę strawę dawano w garnuszkach, które stawiano na progu. Gdy dozorca otworzył drzwi, trzeba było chwytać za garnuszki, bo natychmiast zamykał, a wtedy przepadał garnuszek jadła. A jaka to była strawa! Kasza hreczana lub jaglana w połowie z łuską, a najszkaradniejsza była jęczmienna, bo kwaśna i piekła w żołądku. Groch z owsem z fasolą i octem; głód tylko przymuszał do takiego jadła.

Gdy się raz dla bolu głowy położyłem na mojej pościeli wcześniej niż zwykle, warknęły wrzeciądze, wchodzi wąsaty cerber z latarnią i ze złodziejami, każe mi się ubierać, wyprowadza za drzwi a złodzieje porwawszy tłumok nieśli za mną aż na dół, gdzie czekał fiakier. Jakiś urzędnik siadł ze mną i zakrywszy okienka, pędził ze mną zaułkami gdzieś daleko, aż stanąwszy przed bramą, na stukanie otworzoną, wysiadł i mnie za połę pociągnął. Prowadząc przez schody i kurytarze, otworzył kaźnię szeroką jak przepaść piekielna. Gdy złożono tłumok, zamknął na dwie kłódki. Było słychać n zegarze, jak wybijał godzinę 9. W ciemnicy zostawiony, przejęty chłodem kaziennym, drżałem na całem ciele i dzwoniłem zębami. Pościeliwszy sobie jak mogłem po omacku, położyłem się i modliłem gorąco. Poleciwszy się Bogu, dumałem nad losem naszym i zatopiłem się w myślach, a wyobraźnia dręczyła mię mękami Dantego. W tym słyszę jakby jęk błagający miłosierdzia, jakby knutowanego. Zadrżałem, aż po chwili poznaję, że to gdzieś w dali pies tak żałośnie bresze. W końcu skleiły się powieki i zasnąłem spokojnie. Nie słyszałem nawet gdy w nocy otworzono kaźnię i przypatrywano się mnie spiącemu. Taka tortura powtarzała się codziennie pomiędzy 12 a 1. godziną w nocy. Dozorca więzienia ze stukiem i pukiem chodzi w asystencyi po kaźniach, a trzymając latarnię przed sobą, świeci więźniowi w oczy, śledzi czy spi lub nie, czy jeszcze żywy. Opatrzy okna, piec, ściany, pod pryczą, podłogi, a chodząc stuka i puka.

Gdy ranek jesienny zaświtał przez kraty i kosze, dozorca otworzył drzwi i kazał, abym wynosił kubeł. Nie ruszyłem się z miejsca i zapomniałem mówić o potrzebie swojej. Było zwyczajem zaraz z rana albo opowiedzieć co więzień potrzebuje, albo napisać na tabliczce łupkowej, bo potem już nic nie uprosił. Dawniejsi koziarze wiedzieli o tym regulaminie, lecz ja świeżo przybyły byłem rekrutem. Musiałem potem pukać do drzwi, aż pojawił się jednooki Czech, nadzorca więzienia w tak zw. „małej kasarni“, bo tu było moje więzienie. Zażądałem wody i chleba, bo tego mi nie dano. „Zaraz każę przynieść —odrzekł. Kazał, ale dopiero około południa.

Kaźnia była wielka, miała cztery okna i prycze w około, mogła pomieścić 50 więźniów. Nie

tyków, którzy nie potrafili nic zrobić ze znakomitego materyału, a w końcu, jak Stańczycy, zaszczepić pragnęli cynizm w narodzie. Takie czyny, to nie polityka, ale podłość niedołęgów, którzy togę polityczną użyli za narzędzie do dobrych interesów frakcyjnych.

Sfera rehabilitowanych dziś przez pewnych historyków, uzurpatorów, porozbiorowej Polski, dostarczyć nam może dowodu, że nie dążność narodu do niepodległości, nie jego marzenia urzeczywistniane, były przyczyną jego upadków; że nie siły mu brakło, ale narzuconym mu z arystokracyi dyplomatom brakło rozumu stanu. Dość przypomnieć słowa prezesa rządu narodowego z roku 1831, księcia Adama Czartoryskiego, które pisał do posła polskiego w Paryżu, żeby mieć dowód niedołęstwa, a nawet złej woli. Czy pierwszy minister narodu, gdyby był rzeczywiście politykiem, mógłby się odzywać do gabinetów w te słowa:

„Powierzyliśmy się szlachetności (sic) i mądrości gabinetów; ufając im (sic), nie używaliśmy wszystkich zasobów jakie nam się wewnątrz i zewnątrz przedstawiały. Ażeby pozyskać przychylność rządów, zasłużyć na ich zaufanie i otrzymać ich pomoc, nie zeszliśmy nigdy z drogi ścisłego umiarkowania, które sparaliżowało wiele usiłowań mogących nam pomódz w tych czasach.

Bez przyrzeczeń gabinetów, mogliśmy byli zadać cios nieprzyjaciołem, aleśmy sądzili, że należało zwlekać, nic losowi nie zostawić, a dziś mamy pewność, że tylko przypadek może nas zbawić.“

Cóż więcej podziwiać w tem odezwaniu się urzędowego dyplomaty polskiego, czy naiwność i niedołęstwo, czy dobroduszną zdradę, do której przyznawał się tak naiwnie przed całym światem, bo wiedział, że owe niedołęstwo, nazwane umiarkowaniem, paraliżowało wiele usiłowań i paraliżowało ów „cios“, o którym z taką pewnością twierdzi.

Dziśby żaden dyletant polityczny nie odezwał się w ten sposób do dyplomacyi europejskiej. I takie to politykowanie, ale nie objawy uczuć narodu pokrzywdzokego i cierpiącego, doprowadziło do bezsilności. Rozum polski poszedł na urągowisko świata, a poszedł nie przez gorących patryotów, ale przez błaznów politycznych.

Chwila, jak czytelnik widzi, bierze jedno za drugie, bierze objawy uczuć za politykę i nazywa dotychczasową politykę bezsilną. Stawała się ona taką jedynie w rękach panów niepowołanych, ale wybieranych stosunkami, wpływami, majątkiem widokami, jakie owym wybranym zapewnić mógł nieprzyjaciel.

Dziś zaś chcianoby podać w urągowisko rozum polski w inny sposób, a mianowicie wykazaniem, że tylko ci go mają, którzy uznają bałwochwalczo siłę. Tych to właśnie broni *Chwila* broniąc taktykę reakcyjną, broniąc wszystko, co imponuje choćby bezprawną potęgą.

W czwartym punkcie zreasumowanych poglądów naszego artykułu, zaznacza *Chwila*, żeśmy przyznali, iż za ideałem wszechsłowiańskim stoi potęga, z którą świat polityczny liczyć się musi. Wnioskuje potem z prostego skonstatowania faktu, że to „uznanie pośrednie dla tej polityki“. Byłoby to to samo, co powiedzieć, że ponieważ gwiazdy wydają blask, więc grzeją. Ani pośrednio, ani bezpośrednio nie uznajemy owej polityki, bo uznanie robi się tylko pod warunkiem, a my warunków w obłudzie nie widaimy. Co zaś myślimy oparci o oczywiste fakta o sztandarze słowiańskim w ręku Rossyan, o tem powiedzieliśmy wyraźnie u wstępu.

Jeszcze jednego zarutu pominąć nie możemy. Brzmi on w artykule wstępnym *Chwili* tak:

„*Strażnicy* nowa polityka nie podoba się i dla tego, iż nie wierzy, aby w federacyi jaki naród mógł zachować swą indywidualność. Jest to zaiste powątpiewanie szczególne, które każe przypuszczać, że *Strażnica* wcale sobie nie zdaje sprawy ze znaczenia wyrazu federacya i odpowiedniego mu polskiego „zrzeszenie“.

I owszem zdała sobie *Strażnica* sprawę z wyrazu, czy on brzmi po cudzoziemsku „federacyi“ czy „zrzeszenie“, ale zarazem zdała sobie i z tej smutnej prawdy sprawę, że pod wyrazy podsuwają się inne rzeczy, inne stany i stosunki, niż te, jakie być powinny wedle praw i sprawiedliwości.

Widzimy bowiem, że i sprawiedliwość u silnych i ufnych w przemoc inne ma znaczeuie. Wyrazów używają silni za sztandary łudzące, a słabi, ale uczciwi i ufni w swoje prawa, wyrażają te same przekonania i zasady, które żywią w głębi serc, które wyznają otwarcie i nie podsuwają innych słów pod dążności te same.

Jeżeli natomiast obowiązkiem jest nie zdradzać szczerych intencyj zawsze, to obowiązek ten spoczywa na politykach, ale nie na całym narodzie. Polityk zaś byłby zdrajcą swego narodu, gdyby nieprzyjaciołom odkrywał nurtujące w głębi serc intencye. Niech się one manifestują same, to dosyć.

Jeszcze uwaga na zakończenie. *Chwila* tak samo prawie, jak wszystkie organa prasy rosyjskiej, chce zwalczać i obalać idee siłą i przemocą, gdyż ciągle odwołuje się tylko do siły i radzi narodowi pozyskać siłę, choćby za cenę zrzeczenia się swojej indywidualności.

Panom tym odpowiemy i zwrócimy ich uwagę, słowami przenikliwszego nieco polityka, który powiedział tę prawdę niemożebną do obalenia:

„W polityce, ekonomii, tak samo jak w religii, zwalczone być mogą idee tylko ideami, zasady tylko zasadami. Ucisk fizyczny ma tu niezmiernie małe znaczenie. Oczywiście, że na pewien czas mogą bagnety i działa zdławić teoryę, mogą utrzymać porządek materyalny, ale skoro teorye przenikną szerokie warstwy inteligencyi, wówczas przeobrażą się idee w fakta dokonane.

Zdaje się nam, że zagadnienia o narodowości polskiej, należą do polityki i że my walczymy nie inną bronią, tylko bronią zasad i idei. Nie nasza wina, że północni i zachodni nieprzyjaciele wyczerpali zapas argumentów i odwołali się i odwołują do siły. My zresztą nie dziwimy się temu, bo kto broni złej sprawy, kto chce niesprawiedliwość przedstawić w białej szacie niewinności, ten musi czuć mimo złej woli, niedołęstwo własnego rozumowania a uczuwszy je, musi grozić. Groźby owe, to ostatni argument z arsenału przewrotności, ale bynajmniej nie objaw siły.

Bo gdyby nakoniec prawdą było, jak o tem chce świat przekonać prasa słowianofilów, żeśmy tak słabi a polityka nasza zbankrutowała, to nie trzebaby było tyle zachodow, podżegań, oszczerstw i środków przeciw żywotności narodu, środków, nad któremi radzi parlament zasobnego w siły państwa.

Spiritus, ubi vult, spirat.

Tak, ten duch, gdzie chce ożywia. Duch czasu pokonał cezarów rzymskich i legiony, skruszył nie tylko ich moc i siłę, ale i ich cywilizacyę, która runęła pod powiewem jego, a ten, który walczył przeciw niemu, zawołać musiał:

Ty zwyciężyłeś! Galilejczyku.

Czyliż nie najnowszy duch czasu dopomógł do zwycięztwa idei narodowościowej i w takim okresie nawoływać do zaparcia się swojej narodowości!? Byłby to anachronizm i parodya polityki, którą się bawią rosyjscy obłudnicy, czego my jednak *Chwili* nie życzymy.

Roztrzygnięcie kwestyj nie dokonywa się za pośrednictwem dzienników, ale obowiązkiem czasopism kwestye wyjaśniać, cośmy wedle sił i możności, oraz sumienia, spełnili znowu.

Towarzystwo gospodarskie galicyjskie.

I w tym roku odbył się zjazd oraz Walne zebranie Towarz. gosp. galic. dnia 4. Marca b. r. Towarzystwa gospodarskie są w naszej epoce nader ważnym czynnikiem ekonomicznym dla każdego ucywilizowanego kraju w ogóle, a cóż dopiero mówić, jeżeli kraj nosi wyraźne piętno rolnicze, jak Galicya. Wobec naszego położenia i w obec naszej doli, towarzystwa gospodarskie winny być nietylko bodźcem postępu w rolnictwie, ale i jednym z najgłówniejszych łączników narodowych dla społeczeństwa w kraju. Dosyć rzucić okiem na Wielkopolskę, aby się przekonać, jaką tam siłę stanowi ta spójnia towarzystw gospodarskich, czyli kółek rolniczych, w których się łączy włościanin, posiadacz kilku morgów ziemi z właścicielami większych posiadłości dóbr ziemskich, ze szlachtą i z panami. Jeżeli nacisk rządu, wynaradawiający żywioł polski i wywłaszczający ziemianina Polaka natrafia tam na tak silny opór, z powodu pomocy własnej i obrony, to jakieżby skutki błogie dla dobrobytu, umoralnienia i wzmocnienia sił żywotnych narodowych mogło oddać Towarzystwo gospodarskie w Galicyi, w takiem państwie konstytucyjnem, gdzie o prześlado-

---

mogłem sobie wytłumaczyć, co ta obszerna kaźnia ma znaczyć; drapałem się do okien, ale były wysoko, do połowy zamurowane, a dalej kosze, czyli deski zasłaniające szkło, tak, że tylko z góry światło padało. Wtem zaczęto do mnie pukać ze wszech stron, z dołu, z boków, a gdy nie umiałem odpowiadać, wzywano do okna, które było zamknięte na kłódki. Siadłem pod ścianą i uczyłem się alfabetu kaziennego, który składał się z 24 liter po sześć w rzędzie. Pukało się najprzód rząd, a potem literę. Alfabet tak się dzielił:

a b c d e f
g h i k l ł
m n o p r s
t u w x y z

Z razu szło to z trudnością, ale potem z taką wprawą, jakby telegrafował Tak szła komunikacya od ściany do ściany i tak n. p.: — ... ≡ ... ≡ ...... = ... ≡ ..... — ... = .. — . — ... = ... — . = ... ≡ ...... ≡ ...... ≡ ... ≡ ... = ... — ..... ≡ ...... ≡ ...... — .. ≡ .. = ... ≡ ,.. ≡ ... ≡ ...... = ... = ... ≡ .... = ..— . —.... ≡ ...... co znaczyło: „co słychać?“ „jak się zowiesz?“ „Bukowski ksiądz“. Później tak szybko szła rozmowa, że tylko kilka początkowych liter wystarczało do zrozumienia, Dozorcy gniewali się na te pukania, wpadali z nienacka na pukającego i karali. W tym razie radzono sobie suwaniem patyczka po ścianie; aby zaś kiedy nie podszedł i nie wybadał tajemnicy, umówiono sobie jakie hasło na przyszłą rozmowę. Później wiercono dziury w ścianie patyczkiem z miotły na wskróś, przez które rózmawiano, albo podawano sobie, listy, cygara, kiełbasy, a za pomocą słomki wypijano wódkę lub wino. Pilnie szukano za takiemi dziurkami w nocy. Aby zatrzeć ślad robiono z chleba korek, rozrabiano tynk z wapna i pobielano. Potrzeba wynajduje różne sztuki. W długich zimowych wieczorach gdy od godziny 3. aż do 9. z rana ciemno było w kaźni, znękany więzień oddany samotności słodko spędzał godziny przy ścianie, pukając, lub przez dziurkę prowadząc rozmowę. Latem siedziało się znowu przy kratach i tak czasem rozmawiano aż do piątego okna, przez — „podaj dalej“. Zołnierze nasi „mudie“ gniewali się, dawali znać „pałkarzom“ lub przeklinali. Madiary natomiast lub jaki żołnierz mieszczanin, nie przeszkadzali; a gdy „pałkarz“ podchodził cichaczem pod kosz, aby schwytać kogo na rozmowie, to chrząkali lub szargali bagnetem po koszu, co miało znaczyć: „sza, cicho!“ Niektórzy żołnierze, szczególnie Madiary rozmawiali z nami przez „wizytyrkę“ czyli okienko we drzwiach, które pilnie zamykano podczas przechadzki, aby więzień nie widział drugich prowadzonych na przechadzkę albo do śledztwa. A ponieważ pod naszemi oknami była przechadzka, to robiono dziury w koszach, aby można widzieć, kto się przechadza.

Razu pewnego otwiera do mnie żołnierz wizytyrkę, gdy „połkarza“ nie było na korytarzu i przemawia:

— Jak se maji, co sem oni za jedni?“ — a gdy mu powiedziałem, „ach werum Boha, co sem oni zrobili?“ Objaśniłem go i o tem, a Madiar zaczyna teremtetować, żałując mię. Prosiłem go, aby mi przyniósł karty, ołówek i papieru. „Dobre, dobre, ja tu pryjdu za trzeci dzień i prynesu“.

I dotrzymał poczciwy Madiar słowa, bo za trzy dni był znów na straży, a gdy upatrzył stosowną chwilę, odważył drzwi u spodu kolbą, bo na dzień tylko na jedną kłódkę zamykano, wsunął mi karty, kawałek ołówka i papieru arkusz. Chociaż karty były zbrukane, że zaledwie można było poznać figury, chociaż papier był zmięty, jednak wielką sprawił mi radość. Nierazo zdarzył się, że jakiś żołnierz z naszych miasteczek lub rozumniejszy okazywał nad nami swoje politowanie; ale to rzadki był ptaszek. Razu pewnego pod moim koszem na dole w zimie słyszę żołnierza płaczącego. Litością przyjęty, pytam się go „co wam wojaku?“. „Ot biedny jestem, wzięli mię gwałtem do wojska i żona biedna z dzieckiem została“. „A zacóż was wzięli?“ — Bom przechował u siebie kilku Polaków, których chłopi zabić chcieli“ — Jak się zowiecie i zkąd?“ Odpowiedział, że się nazywa Topolnicki i jest szlachcicem z Topolnicy. Pocieszałem go, aby znosił swój krzyż z poddaniem się woli Bożej, tak jak tysiące innych, tak jak dla Polaków przystoi. Nie dał się uspokoić. tylko rozpaczał. Za chwilę usłyszałem wystrzał; cała zgraja dozorców stanęła na nogach, alarm, bo znaleziono tego żołnierza, który się nurzał we krwi, nie mogąc przeżyć swego nieszczęścia. Dobrze się tu odezwać z Adamem: „A znasz ty ewangelię, a znasz ty nieszczęście? Domyśliłem się, że to się zastrzelił ten biedny szlachcic Topolnicki. Westchnąłem za jego duszę do Stwórcy i opowiedziałem braci jego spowiedź. Vindica Domine sanguinem, qui efusus est.

Nie długo popasałem w tej ogromnej kaźni, po której pływałem jak szczupak po stawie. Pewnego wieczora zabrano mię ztąd i zaprowadzono pod Nr. 80. na dole jakby w piwnicy, była to mordownia. Sciany wilgotne, zgniła podłogn, a gdy się kod pryczą schyliło, to dostałeś zawrotu głowy, taki był zaduch od pleśni. Tu mię zamknięto dnia 20. Października i trzymano w niej aż do 20 Sierpnia 1847 r. przez miesięcy 11. Szczególna łaska Boska, że nie zgniłem, ale nabawiłem się łamania po kościach i zepsułem sobie wzrok, bo kaźnia

waniu narodowości nie ma mowy, i od nas samych głównie zależy rozwój narodowy. Ze smutkiem jednak przychodzi wyrzec prawdę, że i w tym kierunku Galicya nie spełniła i nie spełnia swego obowiązku, swej misyi narodowej, aby chociaż moralnie i dobrym przykładem dodawać otuchy i wskazywać drogę braciom żyjącym pod innymi zaborami, jaką to siłę stanowi wytrwała i usilna praca przy zespoleniu wszystkich warstw społecznych.

Niestety, ziemianie nasi w Galicyi pomimo, że są w posiadaniu bardzo wielu swobód, których inne ziemie polskie nie mają, lekceważąc po prostu przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, nie tylko nie byli i nie są przykładem, ale lekkomyślność pcha ich może do jeszcze większego upadku.

Ileżto lat istnieje Towarz. gosp. w Galicyi, a gdzie zaszło, w jaką urosło siłę i czego się po niem spodziewać można.

Nie będziemy przechodzić całych dziejów, ale wystarczy to, co mówi sprawozdanie komitetu za r. 1885. Pominiemy nawet nieudałe lub bardzo problematyczne szkoły, jak n. p. byłą szkołę uprawy i wyprawy lnu w Gródku, ciekawą tak samo i jedyną w swoim rodzaju wrzekomą szkołę ogrodniczą we Lwowie, a zwrócimy uwagę na wydawnictwo *Rolnika*, które to pismo od początku prawie wydawnictwa choruje na agonię, gdyż wszyscy rolnicy i ziemianie w Galicyi nie mogą pokryć nawet kosztow wydawnictwa, wynoszących rocznie 2.400 złr., a z których pokrywa Ministerstwo 1.400 zł., a resztę (1000) Towarzystwo z funduszów własnych.

Ciekawe jest objaśnienie w sprawozdaniu, które brzmi:

„Za udzieloną subwencyę przesyła się krajowej Radzie szkolnej 150 egzemplarzy *Rolnika* bezpłatnie do obdzielenia niemi szkół ludowych. Również bezpłatnie przesyła się to pismo członkom Towarzystwa, opłacającym 15 złr. wkładki rocznej; liczba ta wszakże zmniejsza się rok rocznie niestety, i gdy w r. 1883 wynosiła jeszcze 186 członków, wynosi w r. 1886 (według nadesłanych wykazów) już tylko 172 członków“.

Do tego objaśnienia jest jeszcze w sprawozdaniu dodatek następujący:

„Największą ilość członków 15-reńskowych mają oddziały Buczacz (25), Tarnopol (21) i Rudki (17); najmniejszą ilość (po 1 członku tylko) mają oddz. Bełz i Sanok, — a oddz. Brzozów i Tłumacz nie mają ich wcale. W r. 1875 było jeszcze 373 członków płacących 15 zł. wkładki rocznej, ubyło zatem w ciągu dziesięciolecia 200 takichże członków“.

Reszta członków zobowiązana jest do płacenia rocznie 5 złr., względnie najubożsi 2 złr., a więc są to wkładki, które w żaden sposób nie można nazwać wysokiemi i nieprzystępnemi. Pomimo to w całej Galicyi i Lodomeryi wraz z W. Księstwem Krakowskiem, Oświęcimem i Zatorem, liczba wszystkich członków Tow. gosp. wynosi razem

1242 członków.

Czy potrzeba jeszcze innego dokumentu, aby uwidocznić mizeryę tego Towarzystwa, Towarzystwa w kraju przeważnie, a nieomal wyłącznie rolniczym?

Czytamy dalej jeszcze taką uwagę, że zaległości na oddziałach rozwiązanych wynoszą 1148 złr. 79 ct., a więc są nawet okręgi w kraju, w których się nawet najmniejsze grono członków Tow. gosp. nie może zebrać.

Oto mamy obraz główny Towarzystwa gospodarskiego w kraju, liczącym około 6 milionów mieszkańców! Pomimo to nie mielibyśmy odwagi rzucić kamieniem na wszystkich rolników w Galicyi i posądzić bezwzględnie chociażby tylko o brak poczucia własnego zachowawczego zmysłu. Przyczyny tej wrzekomej obojętności należy upatrywać gdzieindziej, a to w tym jeneralnym głównym grzechu śmiertelnym, ciążącym na t. zw. starszej braci w Galicyi, która zasklepiona w swej odrębności, że tak powiemy kastowej, nic nie uczyniła, ale przeciwnie, zimnem swem odpychała przeważną część rolniczej rzeszy, aby ta trzymała się na uboczu, nie brała serdecznego czynnego udziału, ale widziała tylko w pp. członkach Towarz. gospod. swoich wrzekomych dobrodziejów, lub wielkich jałmużników, opiekunów, którzy wyłącznie mają prawo radzić o dobru ogólnem kraju. Oto są skutki tej odrębności społecznej, zasklepiania się i oszańcowywania we własnych tylko sferach tej warstwy która się zwie uprzywilejowaną

Oto przyczyna, dlaczego mniej zamożny ziemianin, mniej posiadający ziemi włościanin nie łączy się i stroni od Towarzystwa gosp. — A czy mu się dziwić można?

Przypatrzmy się pierwszemu lepszemu walnemu zebraniu we Lwowie, na które dla decorum łączności, sprowadzono kilku włościan, lub namówiono, aby przybyli. Biedacy ci wchodzą do sali ratuszowej i na wstępie spotykają się z pańskim bufetem, zastawionym łakociami, trunkami, o których ani pojęcia nie mają. Stawają przy drzwiach, zaambarasowani, nieśmiali i nie wiedzą co z sobą zrobić, aż im poczciwy woźny magistracki wskaże, by się udali do sali. A więc wchodzą tam. Urzędnik Towarzystwa wręcza im druki i zapisuje ich nanazwiska, poczem znowu stoją dłuższy czas pod ścianą, patrząc na kilkudziesięciu panów zebranych i słuchając gwaru ich, ale nikt się do tych rycerzy płużnych w sukmanach nie zbliży, nie powita, nie przemówi do nich, nie uściśnie ich dłoni. Dopiero gdy wszyscy zajęli miejsca i prezes zagaił posiedzenie, oni na palcach skradają się pojedynczo za ostatni rząd krzeseł, aby tam w niżach pomiędzy oknami przycupnąć. Rozpoczynają się rozprawy, ale po większej części tak wygłaszane, i w takim pseudo-akademicznym stylu (jak n. p. na ostatniem zebraniu mówka p. Kozłowskiego juniora z Sanockiego), których oni nic a nic nie rozumią i aczkolwiek pilnie nadsłuchują, nie mogą się połapać, o co się rzecz toczy.

I tak przesiedziawszy na dwóch, trzech posiedzeniach, widzą, że są tu po prostu intruzami, sierotami i jakby stworzeniami niememi, bo inaczej chociaż jedna poczciwa dusza do nich by się zbliżyła i dodała otuchy chociaż jednem tchnieniem, jeżeli już nie bratniego serca, to przynajmniej życzliwości. A przecież tych kilka okazów włościańskich, które na te zgromadzenia przybywają, odbywają często nawet dalekie podróże, są to widocznie postacie poważne i z takim wyrazem, iż z góry można być przekonanym i pewnym, że oni muszą mieć głos i wiarę w kmiecej rzeszy zkąd przybyli, bo sama ich powierzchowność, ich typy, wskazują już na to, że to są prawdziwi kmiecie polskiej i ruskiej ziemi. W przekonaniu naszem nie spadłaby ani jedna korona uherbowana z głowy Jaśnie lub Wielmożnego Pana, gdyby poczucie jego zabiło w sercu żywszem tętnem i zbliżył się z ludzkiem słowem do takiego kmiecia. Takie objawy jednak jeżeli są, to nader wyjątkowe, a więc nie mogą się przyczynić do wzbudzenia ufności włościan do panów. A jeżeli ci włościanie raz się tylko właściwie stykają z panami, to jest w czasie wyborów do Sejmu lub Rady państwa, a głównym językiem tej asymilacyi jest gorzałka, kiełbasy lub papierki, to czy takie pośrednictwo ducha może wzbudzic wiarę u maluczkich? Czy im się można dziwić, że mając przed oczyma takie niecne szacherki wyborcze, które panowie tylko dla swych osobistych widoków urządzają i stają się szczodrymi, czy ten lud demoralizowany tak usilnie przy braku oświaty i niepoczytalności celów, prowadzących do ogólnego dobra kraju, nie jest uprawniony do podejrzliwości, że nawet Tow. gospodarskie nie jego powinno obchodzić, ale panów?

Gdy ten lud widzi i dotyka się palcem rany, jak w powodach upadku Banku włość. nieustających nadużyciach i rabowaniu go po powiatach, przez osobistości prywatne, ale jakby uprzywilejowane do tego rabunku, jeżeli wobec nich nie biorą w opiekę pokrzywdzonych bezpośrednio czuwać zobowiązani bracia starsi, a chociaż by tylko z powodu wspólnego zmysłu bytu zachowawczego, panowie właściciele większych posiadłości, szlachta, patrzą obojętnie na to co się dzieje, czy wobec tego wszystkiego można żądać, aby wieśniak chociaż w pracy ekonomicznej łączył się ze starszą bracią?

Ale pomińmy i te przyczyny, a przypatrzmy się wszystkim właścicielom większych posiadłości rolnikom na całym obszarze Galicyi, jak oni pojmują cele i doniosłość Towarzystw gospodarskich, jeżeli liczba wszystkich członków wynosi 1242? Ten jeden fakt wystarcza, aby o pracy wspólnej Tow. gospod. galic. nabyć jak najsmutniejszego wyobrażenia. Czy w Galicyi nie powinno się było zespolić w tym celu chociaż kilka tysięcy członków? Trudno przecież obwiniać całe społeczeństwo rolnicze, aby ono nie miało w piersi iskierki poczucia, jak należy bronić wspólnemi siłami dobra publicznego, i aby zapomniało o przysłowiu, że gromada to wielki człowiek. Jeżeli jednak ci rolnicy, a nie włościanie tylko, ale nawet znaczna część szlachty i innej inteligencyi rolniczej, została rozczarowaną przez długoletnie doświadczenie i nabywa przekonania, że takie Towarzystwo gospodarskie co najmniej graniczy z blagą to niechże nikogo nie zadziwia, że liczba członków nietylko się nie powiększa, ale zaznacza się nieustanna dezercya

---

ciemna i zimna tak, że w zimie siedząc w kożuchu, przy piecu żelaznym grzać się musiałem. Pieca bowiem nigdy nie rozpalano mocno, obawiając się, aby się więzień nie spalił, chociaż rzeczywisty powód był ten, że dozorcy sprzedawali tym żydom sągi, którzy liwerowali. Tak zwany „oberkerkemeister“, to był bogacz, tyle miał dochodów obrywków. A kiedy Polacy siedzieli niektórzy o swoim wikcie to całe utrzymanie skarbowe szło dla niego. Dzielił się wprawdzie z innymi. Z razu nic nie czytałem bo mi ksiąg nie pozwolono, a po Nowym Roku 1847. Nie chciano mi dać nawet brewiarza, odpowiadając, że nie mogą znaleść moich książek. Kupiłem sobie więc łupkową tabliczkę i pisałem różne wiersze, rozwiązywałem różne zadanie matematyczne, a gdy mi poczciwy Madiar o którym wspominałem dał karty, wtedy układałem pasjanse i kabały. Ale trzeba się było kryć, tak samo jak z ołówkiem i papierem.

Było zwyczajem, że co trzy miesiące odwiedzał jaki wyższy urzędnik więzienie. Gdy takowy przyszedł, kaźnię otworzono i czekał ze dwie minut na kurytarzu, zaczem świeże powietrze owionęło kaźnię, pytał co mi potrzeba i czym kontent z kaźni? Prosiłem go o innę, bo ta za wilgotna i ciemna, oraz błagałem o najspieszniejsze śledztwo. „Dobrze, dobrze, będę pamiętał“ i niby sobie zanotował; ale była to po prostu komedya. Starsi „koziarze“ zapewniali mię, i ja się przekonałem, że to tylko były próbki, czy już kto zmiękł dostatecznie do inkwizycyi. Dlategoteż gdy drugi raz taki się zjawił i pytał czy mi dobrze, odpowiedziałem że dobrze, a w duchu cierpiałem dalej.

Podług prawa należała się nam duchownym alimentacya, tj. cwancygiera na dzień, ale tego nam odmówiono, dając prosty wikt jak złodziejom, a przez najwyższą łaskę tak zw. „szpitalkę“. Za to świat wówczas był uczciwy, ludzie mieli serca, czuwali nad ofiarami patryotyzmu. Ztąd też więźniowie odbierali różne dary z powszechnych ofiar składane.

Opadała bielizna, buty, suknie i takowe dawano nam z ofiar. Gdy ukończono śledztwo, dawano nam książki do czytania i po 5 fl. k. m. na miesiąc. A gdy się komunikacya ze światem przez listy otworzyła, to zjawiła się jakaś siostra lub kuzyna do wizyt, która przynosiła różne prezenciki, a cóż to za radość była widzieć ludzką twarz, chociaż w przytomności pilnującego urzędniką. Ja nie umiałem sobie radzić, ani grać takiej komedyi i wolałem się obyć bez tego fortelu.

Gdy mi jednooki dozorca oświadczył, że mam pieniądze i mogę sobie zadysponować co mi trzeba, prosiłem go tylko o pranie bielizny i o cygara, a w niedzielę jaki kawałek pieczeni. Ani wódki, ani kawy, ani piwa, ani wina nie kosztowały usta moje aż do wilii.

Nim jednak przystąpię do tej chwili, muszę opowiedzieć czytelnikowi, któremu może się równie to przyda, gdy go pod klucz zamkną na dwie albo trzy kłódki okutego, jak drapieżne zwierzę, aby w moje wstępował ślady i przetrwał z silną wolą wszystko i broń Boże się nie poddawał rozpaczy ani w trunku szukał ratunku. Okropna była samotność moja i udręczenie myśli ciągłą pamięcią o tem, jak się w Sanoku tłumaczyłem, bym tego nie zapomniał, co tam do protokołu zeznałem. Niepewność, co mi zarzucać będą w śledztwie specyalnem, równie wymagała natężenia pamięci, abym nie popadł w sprzeczność. Należało pilnować zwiąźłego, krótkiego rozwiązania pytań i nie wdawać się w rozwlekłe opowiadania, bo jako principium w sądach tajemnych było zaprzeczanie najlepszą kotwicą.

Moje życie w kozie było jednostajnem jak zegarowe tętna. Wstawałem w zimie o godz 9. rano, gdy się kaźnia nieco ogrzała. Po umyciu się w cebrzyku i ubraniu się, klękałem pod krzyżem, który sobie z chleba zrobiłem i poświęciłem. Zmówiłem 5 pater noster i Miserere mei Deus, a gdy dostałem brewiarz, zwykłe kapłańskie pacierze, i przyznam się, że nigdy tak dokładnie i nabożnie nie odmawiałem brewiarza, jak w kozie. Nieraz krzyżem leżąc błagałem Boga o zmiłowanie i odpuszczenie grzechów, przyjmując tę kozę za bicz Boży za moje grzechy i winy. Potem rozmowa po prawej stronie przez dziurkę z Wincentym Przestrzelskim z sanockiego, z Kosakowskim, z Rzychoniem, z ks. Zgrzebnym, potem z poczciwym akademikiem, dziś dziedzicem Bolesławia, p. Marjanem Sroczyńskim, z którym i przy oknie nad wieczorem się rozmawiało, i od którego mam słownik francuski na pamiątkę. Gdy mi książki oddano, czytałem. Dawano nam i z kaziennej biblioteki niemieckie plugawstwa odwieczne; dobre i te, gdy nie było innych, ale szkoda ócz. W południe obiad, czasem przed albo po południu przechadzka między wysokimi parkanami, w których szpary szczelnie były pozabijane. Pochodziwszy pół godzinki, zapaliwszy cygaro lub fajkę, powracało się do kaźni. Nad wieczorem pogadanka, kolacya: kawałek chleba suchego, rzadko z masłem, bo było bardzo drogie. Dosyć powiedzieć że u p. kerkermeistra za kawę, obiad prosty i herbatę wieczorem, płaciło się 30 złr. miesięcznie, chociaż to były czasy bardzo tanie. Gdy kaźnie wszystkie były na noc zupełnie zamknięte, rozpoczynała się pogadanka na wszystkie

i wykreślanie z Towarzystwa. W tym roku n. p. ku zdziwieniu naszemu nie ujrzeliśmy na Walnem Zebraniu Aleksandra Krukowieckiego, który przez tyle lat tak się gorąco sprawami Towarzystwa zajmował a nie pojawił się dla tego, że wystąpił z Towarzystwa, gdy się przekonał, że wszelkie zachcianki reform ku lepszemu są niemożebne, do blagi zaś nie myśli ręki przykładać, i nie chce się za taką nieudolność dalej rumienić.

W takich warunkach i w tym roku odbyło się walne zgromadzenie w sali ratuszowej dnia 4. marca. W dzień poprzedni z powodu posiedzeń Tow. kredyt. ziemskiego był wielki zjazd szlachty we Lwowie, którzy równocześnie byli i członkami Tow. gosp. galic. Pojawiło się ich sali ratuszowej jednakowoż kilkudziesięciu, reszta odjechała do domu, lub kończąc karnawał nie pojawiła się. Program tegoroczny obrad był nader skromny a pomimo to posiedzenie pierwsze trwało zaledwie godzinę, gdyż sprawy objęte programem nie mogły być wzięte na porządek dzienny, z powodu nieobecności niektórych, pp. referentów i członków komisyi.

Do ważniejszych tego dnia należało wprowadzenie mięsa solonego czyli t. zw. „peklowiny" (Peckelfleisch) z Rumunii do Austryi. Uprawnienie to może się stać dla gospodarzy galicyjskich rzeczywiście bardzo niebezpieczne i obniżyć cenę hodowli bydła; bo pod nazwą mięsa solonego mogą się Rumuni dopuszczać wielkich nadużyć, gdy kontrola przy wywozie na rzecz Austro-Węgier odbywa się przez urzędników rumuńskich. Czy rezolucya wniesiona do rządu będzie popartą odpowiednio przez naszą delegacyę? Czy znowu dla wyższych celów politycznych nie poświęci się i tej sprawy, o tem w swoim czasie doniesiemy. Twierdzenie nasze na tem opieramy, że p. Dawid Abrahamowicz który tę rezolucyę wniósł, nie omieszkał nadmienić jako członek delegacyi, że polityka zewnętrzna nie liczy się z interesami naszego kraju, a koncesya ta dla Rumunii może doprowadzić do innych ustępstw, lecz że rząd nie mógł obecnie inaczej postąpić.

Ważnym wypadkiem drugiego posiedzenia było zabranie głosu przez p. M. hr. Borkowskiego, który postawił wniosek, aby zgromadzenie dla uczczenia ks. Adama Sapiehy postanowiło — wybicie medalu. Wniosek przyjęto naturalnie jednomyślnie i rozpoczęła się nader ważna dyskusya — „nad formą ofiarowania medalu", jak również „nad adresami oddziałów", poczem wszedł niebawem sam ks. Adam Sapieha i objął przewodnictwo. Pan hr. M. Borkowski powitał księcia i zawiadomił, co Rada na cześć jego postanowiła. Uważał przytem za właściwe usprawiedliwić członków Tow. gosp., że się tak „mniej licznie" zebrali na Walnem zgromadzeniu, ale „winą tego liczne klęski które nasz naród dotknęły". (Dziwna rzecz, że podczas całego karnawału nie można było tego samego zauważyć, bo już dawno panowie szlachta tak nie hulali, jak w tym roku. Red.)

Książe Sapieha odpowiedział bardzo patryotycznie, co jego organ „Dziennik polski" tak streszcza:

„Ks. Sapieha ze wzruszeniem dziękuje za te objawy życzliwości, kochając rolnictwo wierzy w jego przyszłość i chciałby dłoń pracować, mimo, że niestety ogół rolników stoi na uboczu, nie idąc lepszą drogą, ale patrząc apatycznie i zakładając ręce. Książe ceni tę garstkę, która od początku podaje stanowi rolniczemu rękę pomocną, a uznanie tej garstki jest dla niego szczęściem, które zapamięta do końca życia. Zwraca się w końcu do obecnych, zaznaczając, że wielką część powodzenia zawdzięcza Towarzystwo ich działalności. Przyszłość nie jest bez wyjścia, ale musimy pracować i poświęcać się, jeżeli rolnictwo ma być uratowanem. Potrzeba tylko obudzenia poczucia obowiązku, a przyszłość będzie naszą, bo zwątpić nam nie wolno".

My się również cieszymy z tego powodu, bo do zbiorów numizmatycznych przybędzie znów jeszcze jeden medal, który świadczyć będzie, iluśmy to mieli wielkich ludzi w Galicyi przy końcu XIX. wieku.

Zaiste, w obec takiego długoletniego poświęcenia gdy Towarz. gospodarskie doszło do tak świetnych wyników, jak sprawozdanie obecnie świadczy, to był nareszcie wielki czas uchwalenia medalu zasługi, zanim Towarz. gosp. galic. nie zniknie z horyzontu, a przynajmniej w roku następnym mogłoby się zdarzyć, że obecna liczba członków na Walnem zgromadzeniu okazałaby się do takiej uchwały zupełnie niedostateczną.

Po tej uchwale nastąpiła sprawa buhajów zarodowych, a po niej sprawozdanie sekcyi chmielarskiej.

Przystąpiono do punktu oznaczonego programem, czyli sprawy handlu rolniczego składów zbożowych i zaliczek na „waranty". P. Bolesław Augustynowicz, wiceprezes Towarzystwa, przedstawił w nader wyraźnych kolorach nasze stosunki, a raczej znowu powiemy brak zmysłu zachowawczego oszczędności, a oraz skutki, do czego doprowadza brak takich składów, które w innych krajach są zbawieniem dla rolników. Dodamy z naszej strony, że najlepszym przykładem jest tego rok bieżący, bo gdybyśmy mieli chociaż we Lwowie składy zbożowe, o których się latami rozprawia, producenci zboża nie byliby wystawieni na tak straszną klęskę wobec wyzyskiwaczy i nie byliby zmuszeni marnować ciężkiej mozolnej pracy, sprzedając za bezcen żyto i pszenicę, które teraz już tak znacznie się w cenach podnoszą, ale niestety w chwili, gdy nasi producenci już prawie nic nie mają do sprzedaży. Składy zbożowe byłyby uratowały co najmniej kilka milionów, a rolnik nie byłby doprowadzony do rozpaczy, oddając się na łaskę i niełaskę spekulującego kapitału na pewnika. Tu na tem miejscu nie możemy pominąć i winy, która nie tylko na członkach Tow. gosp. ciąży, ale niestety i na stolicy kraju, na Radzie miasta Lwowa. Gdyby w tem ciele mogły były zapanować szersze poglądy nie już na ogólne dobro kraju, ale przynajmniej stolicy tegoż, to Rada miasta Lwowa powinna się była nawet posunąć do poświęcenia chwilowego, aby składy zbożowe zostały jak najprędzej we Lwowie wprowadzone w życie. Miasto jako takie nie mogło i nie może na tem stracić, ale przeciwnie zyskać przez tę konieczność, że ruch zostałby ożywiony, ściągałby znacznie więcej obywateli z prowincyi, oraz kupców zagranicznych. Tego niestety nie umiała i nie umie dotąd Rada miasta Lwowa zrozumieć, a Lwów pomimo szumnej nazwy stolicy kraju, nie może się też wznieść po nad poziom „krehwinklady".

Podczas dyskusyi nad tą sprawą wypowiedział p. Kozłowski junior pewien rodzaj mówki kandydackiej, pouczając szczególniej szlachtę, co to są „waranty", objaśniając o nich przykładami, widocznie powyciąganymi z jakiegoś słownika encyklopedycznego, a mającymi świadczyć o szerokiej i głębokiej wiedzy biegłego w sprawach ekonomicznych mówcy, a godnego syna męża stanu pana Kozłowskiego seniora. Mowa ta była pełną tak głębokich myśli, że nie znalazł się ani jeden członek w zgromadzeniu, któryby się odważył na dyskusyę z p. Kozłowskim juniorem.

P. Stanisław hr. Dzieduszycki zainterpelował Prezydyum Tow. gospod. galic., co się też dzieje z memoryałem, który komitet miał wypracować na podstawie uchwały Wiecu? P, dr. Tadeusz Pilat jako członek komitetu oświadczył, że memoryał już został wypracowany i że niezadługo będzie rozdany.

P. Dawid Abrahamowicz jako reprezentant tętna ducha. Koła polskiego uspokoił zgromadzenie, że Koło polskie ani na chwilę nie zapomina o uchwałach wiecu i że przekazało je do troskliwego rozpatrzenia t. zw. „komisyi inicyatywy".

Orzeczenie to nie zaspakaja jednak hr. St. Dzieduszyckiego, który w dłuższej przemowie wygłasza o ekonomicznej polityce rządu i stawia o przyjęcie wniosku, że ogólna Rada Tow. gosp. galic. popiera rezolucye wiecu rolniczego, poleca komitetowi, aby przedłożył rządowi memoryał i stawia konieczność do zastosowania się do uchwał Wiecu.

P. Dawid Abrahamowicz ze stanowiska poglądów na wyższą politykę oświadcza, że nie ma właściwie nic przeciw wnioskowi, ale byłoby jednakowoż lepiej, gdyby go p. hr. St. Dzieduszycki cofnął, gdyż według jego zdania nie należy przyjmować wniosków ogólnych i tak niejasnych.

Pomimo to wniosek hr Dzieduszyckiego został przyjęty. Następnie postawił wniosek p. Bryczyński, aby Rada ogólna poleciła komitetowi, ażeby udał się z prośbą i przedstawieniem do Rządu i Koła polskiego, aby przy sposobności zawarcia traktatu handlowego z Rumunią, postawiono te ostatnią co do cła na równi z innemi sąsiedniemi państwami. Wniosek ten przyjęto.

Na ostatnim posiedzeniu jawnem, które się odbyło wieczorem 5. Marca w gmachu sejmowym, przyszła nareszcie sprawa wielkiej wagi i doniosłości, ale dopiero o godz. 8. wieczorem, a więc na 5 kwandransów przed zupełnem zamknięciem

---

strony. A jaka to rozkosz była zimą zapalić cygaro od pieca za pomocą szmatki. Wierzorem podrzuciwszy złodziejowi cygaro lub chleb, zapalił silniej w piecu, miauowicie w jednem miejscu, aby był biały; przytknięta skubanka zapalała się, a od niej cygaro. Nie wolno było mieć zapałek, lub jakichkolwiek przedmiotów, nawet szpilki i igły. Mięso krajało się kościanym nożem. Okropne były wieczory zimowe, bo nie pozwalano światła, a za lampkę w okienku w drzwiach wystawioną zewnątrz, kazano płacić 5 złr. miesięcznie. Kible kazano nam samym wynosić do drzwi, pod pretekstem, aby złodziej nie podrzucił karteczki. Gdy mnie kazano wynosić, odpowiedziałem: — „Ja tego robić nie będę, powiedz pan to swemu konsyliarzowi, bo ja jestem kapłanem". Pałkarz odpowiada: — „Tu sem wszyscy jednakowi, bo to kryminał". — Upór mój zwyciężył, nie kazano mi więcej kibla wynosić.

Tak upływał czas aż do Wilii Bożego narodzenia. Dzień ten dla serc polskich tak drogi, smutny był dla nas. Dopiero niektórzy, uzyskawszy pozwolenie widzenia się z rodziną, z matkami, żonami, córkami lub krewnymi, oznajmili nam przez telegrafy, że poczciwe Polki kolędę nam przygotowały. Po długich korowodach i prośbach aż do gubernatora wyrobiły pozwolenie poczęstowania nas opłatkiem, ale na opłatek nie pozwolił radca krzywogęby Krieg, tylko na strucle i ryby, oraz butelkę wina. Gdy nam biedakom nad wieczorem porozdawano te ofiary, odezwała się powszechna radość przez okna: „Niech żyją Polki!" — Rozgniewany dozorca wpadł do kaźni, wścieka się i ferfluchtuje, aleśmy go uspokoili po polsku, przepijając winem do niego.

Wtedy od kaźni do kaźni, czyli od ściany do ściany szły życzenia i tak niby przy jednym stole, chociaż murem przegrodzeni, pożywaliśmy dary Boże.

Skrzypiały pióra po biurach, zdziwiano się nad nami i pastwiono w ohydny sposób. Po Nowym Roku sekretarz sądowy a kolega mój z Czerniowiec przywołał mię sekretnie do siebie i niby kazał pisać prośbę do prezesa o inną kaźnię i przyspieszenie śledztwa; a będąc sam na sam ze mną okazał swoje politowanie, utraktował cygarem i rozmawiał. A gdy pisanie ukończył, ucałował i zawoławszy pałkarza odesłał do kaźni. Emil Honauer nazywał się ten poczciwy Niemiec. W kilka miesięcy potem umarł na suchoty. Gdy się popatrzałem w jego pokoju w zwierciadło, przeląkłem się samego siebie. Twarz wyglądała żółta jak cytryna, oczy zapadłe a wargi sine. Drzałem na całem ciele. Poczciwy kolega przyrzekł poprzeć moją prośbę; z tem powróciłem do kaźni, ciesząc się i opowiadając kolegom, u których wywołałem radość powszechną, bo wiedzieli, jak niezdrowa moja kaźnia. Cieszył się i mój epipoda, bo miał nadzieję że mię do niego wsadzą.

Po 5 tygodniach dopiero wzięto mię z tej mordowni i osadzono na górze, ale w takiej ciupie, że miałem dwa kroki naprzód, a dwa w tył, a tuż w sąsiedztwie kloaki. Nie mogłem otwierać okna ani drzwi. W tej miłej ciupce zabrakło mi powietrza, ale była jasną i suchą. Tu przesiedziałem siedm miesięcy do 21. Sierpnia 1847 r., mając po lewej ręce sąsiada ks, Ern. Wodzińskiego, z którym przyjemnie upływały dni i wieczory. Bóg wszechmocny strzegł mię od obłąkania myśli, dodawał mi żelaznej siły do rezygnacyi, która zwyciężała wszystko. Mój sędzia śledczy widząc, że mię nie może złamać, uchwycił się innego sposobu. Mieliśmy jak się wyżej mówiło, pomoc od patryotów miesięcznie po 5 fl. k. m. Było to wielkie dobrodziejstwo, bo osładzało nasze męczarnie moralne. Otóż gdy się miesiąc skończył, zawołał mię Serenik, tak się zwał dozorca i uczyniwszy rachunki zapowiedział, że już dla mnie zabrakło funduszu i muszę się kontentować eraryalnym wiktem i bielizną i więcej cygar nie palić. Była to wiadomość bardzo przykra, ale zniosłem i tę torturę, obchodziłem się bez pieczeni w niedzielę i bez cygar, o czem dowiedziawszy się ks. Wodziński, przysłał mi ze dwa razy cygar, ale i on nie był majętny, a więc ja nie mogłem tego od niego żądać. Najokropniejsze tortury były z grubą złodziejską koszulą, a która cała śmierdziała siarką i była w pół brudna. Nie mając grosza, aby dać swoją wyprać, brałem skarbową, byle czystszą. Gdy pierwszy raz brałem taką weretę na siebie, zdawało mi się, że rozpalony pancerz wdziewam. Smierdziała i drapała po ciele, ale co było robić! Tyle tylko, że przepierałem ją wprzód w cebrzyku, rozściełałem na koszu aby wyschła i to mi sprawiało ulgę. Pościel była czarna jak noc. W takich torturach wyglądałem śledztwa z dnia na dzień ale daremnie. Dopiero po kilku tygodniach zjawiła się ta zbawienna godzina.

Gdy się już prawie wszędzie pokończyły indagacye, sfolgowała nieco wściekłość; już się łączyły kaźnie i napełniały, a nas samotników bardzo mało było.

Już i pałkarze byli grzeczniejsi i przyjmowali różne datunki, jakoto: odzież, buty, chleb. Niektórzy nawet kartki z miasta przynosili, pieniądze zapieczętowane i odnosili odpowiedzi. Prawda, że takich było bardzo mało, bo tylko Polacy rozumniejsi, mieszczańskiego rodu, za to żaden Czech albo Niemiec nie byłby tego za grube pieniądze uczynił. Przez takie złączenia więźniów powiększyły

Walnego zgromadzenia i gdy już zaledwie część jedna członków była obecną. Była to sprawa mająca zapobiedz emigracyi ludu pod tytułem zawiązać się mającego „krajowego Towarzystwa ochrony własności ziemskiej“, którego program podajemy osobno.

Przemawiali: dr. Skałkowski i p. Jaroszyński. Ten ostatni odczytuje obszerną odezwę do członków, streszczającą się w następującym wniosku:

Rada ogólna raczy uchwalić:

1. Rada ogólna, przyjmując niniejszy budżet, uchwala rozkład niepokrytej sumy potrzeb zarządu centralnego w kwocie 1.263 zł. 08 ct. w. a. na oddziały według stopy procentowej 20°/₀ od należytości wkładek obowiązkowych członków w każdym oddziale zebrać się mających.

2. Należytości obowiązkowe każdego oddziału, według tej stopy procentowej obliczone i w budżecie wyszczególnione, mają być w ciągu roku 1886 odnośnie do §. 15. lit. d) statutu w całości do kasy Towarzystwa wniesione.

Po przemowie przewodniczącego ks. Sapiehy wniosek został przyjęty z tym dodatkiem, aby do komisyi powołano ludzi fachowych, finansistów i prawników. Dla mówców, szczególniej dla pp. Skałkowskiego i Jaroszyńskiego, nie brakło nawet oklasków, ktore miały oznaczać zapał i zapewne poświęcenie.

Dekoracya się jednakowoż zmieniła, gdy zabrał głos p. Włodzimierz Gniewosz z Potoka Złotego, który wypowiedział swoje zdanie i konieczność zamanifestowania tego wniosku w wyraźniejszy, realniejszy sposób, aby nie miał nikt prawa znowu powiedzieć, że Tow. gosp. bawiło się we frazesa i wszystko się znowu skończy na tych frazesach. Wzywa więc współobywateli w gorących słowach, aby ci bezwłecznie zanim posiedzenie zostanie zamknięte, przystąpili ilu jest obecnych do podpisów czyli deklaracyj wziętych udziałów i w ten sposób rozpoczęli żywotność tego stowarzyszenia (udział wynosi 200 złr.) i aby każdy biorący udział złożył chociaż czwartą część w gotówce.

Słuchając mówcy, zwróciliśmy szczególnę uwagę na otoczenie i zauważyliśmy, że się fizyognomie zasępiły, niezadowolenie było aż nadto widoczne i jeszcze przed zakończeniem przemowy zaczęli się różni członkowie cichaczem wymykać do pierwszego pokoju; a gdy mówca skończył, zapanowało wielce przykładne milczenie i cisza. Nikt nie zażądał papieru i pióra, aby chociaż podpisać dla decorum wzięcie udziału; a ztąd wynik, że gdy nawet p. prezes ks. Adam Sapieha nie dał dobrego przykładu, nikt też nie sięgnął do pugilaresu chociażby tylko po 50 złr. Kiedy wybrana komisya ukończy narady i ogłosi statut, o tem się zapewne coś dowiemy ża rok na przyszłem Walne zgromadzenie. Tow. gzsp. galic. Gdy jednak wydrukowano tak gorącą i patryotyczną odezwę, to jesteśmy uprawnieni do powtórzenia:

„Mein Liebchen, was willst du noch mehr?“

A jednak Towarzystwo takie wzięte na seryo, energicznie i z silną wolą w ręce, poparte materyalnie, mogłoby rzeczywiście stać się jednym ze szczebli do aparatu ratunkowego naszej nędzy ekonomicznej w kraju.

Prezes ks. A. Sapieha zakończył posiedzenie Tow. gosp. na rok bieżący mową, którą tu znowu podług jego organu tj. *Dziennika polskiego* podajemy. Oświadcza, że w obec wyczerpanego porządku dziennego uważa posiedzenie za zamknięte. Żegnając obecnych, dziękuje im za podjętą pracę, a zarówno zaznacza, jak dziwną i martwiącą i upokarzającą jest apatya dla spraw rolniczych w kraju wyłącznie rolniczym. „Mamy 1200 członków, zamiast mieć ich 120.000, nie dlatego, ażeby składki były za wysokie, aby za uciążliwe były dla członków, ale dlatego, że wielki ogół nic nie pracuje, że z apatyą i obojętnością przypatruje się własnej ruinie. Dziwnie przykrem jest ten brak zamiłowania do tego, co leży w naszym charakterze narodowym — brak poszanowania stanu rolniczego, ta naganna apatya!

Niechaj ogół nasz zwróci oczy na Poznańskie, ujrzy jak szanowany jest tam stan rolniczy, jak tam rolnik, fachowo się kształci.

A u nas zdawałoby się, że rolnik wstydzi się tego, że jest rolnikiem, a nikt nie pojmuje, nikt nie chce widzieć, jak świętym, jak ważnym jest ten posterunek, na którym stanęło rolnictwo. Tym, którzy tak obojętnie patrzą na sprawy stanu, którzy nie szukają innych dróg do tegoż celu i nic nie robią, do tych wołam z tej tu trybuny „Wstyd! To karygodne!“

A Was Panowie, koledzy moi od lat 20, żegnam słowami uznania „Bóg zapłać za wasz trud i pracę“. Jadąc ztąd pamiętajcie zachęcać do czynu! Nie czas, nie czas nam patrzeć“. Z rozrzewnieniem, które się udzieliło obecnym, powiada książę: „Oby nas nie spotkało to, co w Poznańskiem, bo tyle sił nie mamy. A czas jest groźny!“

Na przemówienie to zgadzamy się najzupełniej, ale nic nam nie przeszkadza zapytać ks. Adama Sapiehy, czy przez tak długie przewodnictwo Towarzystwu gospodarskiemu nie miał rzeczywiście żadnych środków moralnych, któreby były wpłynęły na rozwój Towarzystwa w dodatnim kierunku? Czy nie należało w ten sposób, a nawet dosadniejszy jeszcze dawniej przemawiać i nawoływać? Czy książę Adam Sapieha nie miał naokół siebie tylu politycznych przyjaciół, którzyby głosowi jego nadali taką samą siłę i wpływ, jak się było można przekonać o tem wobec innych spraw, a mianowicie wyborczych w kraju. Gdyby książę był zwrócił na Towarzystwo gospodarskie w Galicyi większą uwagę, to dziś nie byłoby ono doszło do takiej mizeryi, i tytułu czczego kierownictwa rolnictwem, jakby in partibus infidelium?

Czy w tym roku jest pora po temu, bicia na cześć ks. A. Sapiehy medalu zasługi, o tem przynajmniej Redakcya *Strażnicy pol.* śmie powątpiewać.

Odezwa założycieli krajowego Towarzystwa ochrony własności ziemskiej.

Ogólny upadek rolnictwa, w skutek niemożności wytrzymania konkurencyi z płodami zaeuropejskiej produkcyi, zmusza rolników całej niemal Europy do obmyślenia środków zapobiegających, nieuniknionej w innym razie ruiny stanu rolniczego. Jeżeli ruina ta zagraża rolnictwu krajów stojących na najwyższym szczeblu kultury, o ileż groźniejszem staje się to niebezpieczeństwo u nas, w kraju wyłącznie rolniczym, a nieposiadającym prawie żadnego przemysłu fabrycznego. Nie dziw więc, że kwestya coraz większego upadku cen zboża wywołała usprawiedliwione przerażenie w naszych kołach rolniczych i wskazała niezbędną potrzebę wyszukania sposobów zaradzenia złemu. Rozpatrując powody coraz to smutniejszych stosunków rolniczych w Galicyi, widzimy przedewszystkiem rażącą różnicę w dochodzie utrzymywanym z ziemi, w przeciwstawieniu z dochodem, jakie dają kapitały lokowane w papierach publicznych. Gdy pierwszy przy dokładnem obliczeniu nie wykaże się o wiele większym nad 3°/₀, to drugi najmniej 5°/₀ wynosi. Różnica ta w innych krajach, gdzie jest większa obfitość kapitałów, o wiele jest mniejszą i w miarę posuwania się na zachód Europy coraz bardziej niknie, gdy przeciwnie u nas coraz bardziej wzrasta i z tej przyczyny ziemia, zwłaszcza w większych kompleksach, nie łatwo kupca znajduje. W obec tego stanu rzeczy większa posiadłość z każdym dniem staje się więcej zadłużoną i dziś już śmiało przyjąć można, że ogół jej nad połowę swej wartości jest długami obciążony. Ponieważ właściciel ziemi dziś już tylko 3°/₀ wydobyć może z całej jej wartości, a od połowy tejże, reprezentującej długi, 6°/₀ płacić jest obowiązany, przeto wszystko co z ziemi dobędzie, oddać musi swym wierzycielom; sam zaś pozbawionym będąc wszelkiego dochodu, w coraz większe brnie długi, uledz w końcu musi przymusowej sprzedaży swej własności, poniżej jej rzeczywistej wartości i szybko do ostatecznego zbliża się bankructwa.

Jedynym przeto ratunkiem dla większej własności byłaby możność sprzedaży tej części ziemi, której wartość wyrównywa długom i spłacenie tychże, a wtedy pozostała i od długów uwolniona ziemia, dawałaby właścicielowi dochód, którego obecnie wcale niema. Żeby jednak módz ten ratunek zastosować, to przedewszystkiem potrzeba znaleść nabywcę, o którego obecnie, na większe zwłaszcza przestrzenie, niesmiernie jest trudno. Najodpowiedniejszym nabywcą ziemi tak tu jak i wsządzie, jest bez zaprzeczenia włościanin, który własną pracą i doglądem na małym kawałku wytwarza więcej, niż gospodarz na znaczniej przestrzeni i który przeważnie sam własną produkcyę konsumuje. Takiego zaś nabywcę w własnym kraju mamy, czego najlepszym dowodem liczne emigracye ludu do Ameryki, szczególniej z zachodniej Galicyi, a nawet i dalej ze Szląska i z Poznańskiego. Wstrzymać przeto tę emigracyę własnego narodowego żywiołu, wstrzymać wywożone nią z kraju kapitały, umożliwić temu ludowi nabywanie ziemi w mniejszych ilościach, zachować dla kraju tracony dotych-

---

się godziny spacerowe, chodziło się czasem i dwa razy na dzień.

Na wielkanoc ugościło nas także miasto święconem i butelką wina. Piliśmy z okrzykiem na cześć i za zdrowie Polek, radowali się i śpiewali „Alleluja“, co przedtem nie było wolno. I to muszę wspomnieć, że rocznicę rzezi 18 i 21. lutego obchodziliśmy przez post, nikt nie chwycił się jadła w te dni, co mocno gniewało Niemców.

Wiosna i lato rozweseliły umysły nasze, ale tęsknota dręczyła po swojemu, mianowicie słysząc czasami śpiew wolnych ptasząt. Niepewność losu dręczyła strasznie.

Gdy tak wyglądamy wyroków, gruchnęła wieść, że Stadion przyjechał i przywiózł amnestyę. Łatwowierne niewiasty przyniosły tę bajkę do więzienia, ale ja temu nie wierzyłem i mówiłem przeciwnie, bo gdyby był wiózł amnestyę, byłby ją zaraz ogłosił, a tu już trzeci dzień od jego przyjazdu. Aż tu w kilka dni gruchnęła inna wieść, że przywiózł dekreta i mają wieszać trzech, t. j. Teofila Wiśniowskiego, Józefa Kapuścińskiego i ks. Kmietowicza, wikarego z Chochołowa.

Teofil Wiśniewski, zanadto znany w kraju, aby o nim kiedyś pamięć zaginęła; najzacniejszy z Polaków w Galicyi, uznany przez rząd za twórcę powstania, cierpiał z godnością i z namaszczeniem. Jeszcze przed śmiercią, na kilka tygodni zapowiedział braciom w więzieniu: — „Ja umrę, ale pamiętajcie o Polsce, bo za dwa lub trzy lata stanie się wielka odmiana w świecie“.

Józef Kapuściński padł ofiarą zemsty Merkla, burmistrza z Pilzna, który chłopów do rzezi namawiał. Kapuściński zapierał się do śmierci nawet pod szubienicą czynu, który mu zarzucano.

Ks. Leopold Kmietowicz wymową swoją razem z organistą Andrusikiewiczem umieli uzbroić lud tatrzański do 5.000 górali, którzy mieli uderzyć na czartaki straży pogranicznej. Rząd ten wyrok śmierci cofnął, gdy Stadion nie mógl wymódz na biskupach, aby zdjęli sacra z ks. Kmietowicza, a arcybiskup lwowski Czech, Pisztek, właśnie był umarł, o którym twierdzono, że byłby sacra zdjął.

Administrator wymówił się, odpowiadając — „Nie mam władzy do tego“. Ks. zaś Gutkowski, biskup podlaski, który żył we Lwowie na pensyi, wymówił się, że do spraw rządowych nie może się mięszać, a na stronie mówił: — „ja tu na hycla nie przybyłem“.

Ks. Wojtarowicz, biskup tarnowski wręcz odmówił: — „non inveni culpam; a w Przemyślu, że to do niego nie należy. Tak samo postąpili ruscy biskupi.

Stadion dał do zrozumienia, aby duchowieństwo prosiło za winowajcą, co też kapituły uczyniły i ks. Kmietowicz ocalony od szubienicy, skazany był na 18. lat do Kufsteinu. Ale nie długo siedział, bo powrócił do ołtarza w r. 1848. Prześladowany następnie, umarł w górach sądeckich na suchoty w r. 1853.

Dzień 31. lipca był przeznaczony na dzień egzekucyi. Lwów cały był w smutku pogrążony. Teofil Wiśniowski szedł z rezygnacyą, Kapuściński oburzał się na wyrok. Teofil Wiśniowski wysłuchawszy wyroku, wyrzekł: „Przebaczam panom, umieram za kraj — Jeszcze Polska nie zginęła“. Kapuściński brzęczał łańcuchem przy wyroku i gdy mu zarzucono morderstwo Merkla, zaprzeczał.

W tym dniu była w więzieniu powszechna żałoba. Nikt nie jadł i nie śpiewał, tylko w dumaniach przepędzaliśmy ten dzień. Odtąd zaczęto wywozić dzień w dzień więźniów, do Berna na Spielberg, czyli Grajgurę, jak ją nasi nazywali.

Po północy kuto w kajdany, ubierano w liberyę więzienną, nabijano w oczach więźniów broń i odwożono. Tak wywieziono Goslara na lat 18, Andrusikiewicza na lat 20, ks. Putałkiewicza, Nahlika i innych na lat 18 lub 20. Księży surowo sądzono. Słyszeliśmy jęki, płacze matek lub żon, gdy się z synami lub mężami rozłączały raz na zawsze. Szczególniej rozdzierał nam serce jęk pani Romerowej, gdy z ośmiorgiem drobnych dzieci pozostawała wdową; mdlała biedna kobieta, nie spodziewając się tak prędko zobaczyć męża swego, a ten pisk sierót był zdolen kamienie poruszyć.

Rozjątrzenie wzmagało się i śpiewy rewolucyjne nie ustawały, a gdy razu pewnego na przekorę nam oficerowie i kadeci zaczęli śpiewać naprzeciw kasarni pieśń, w której były ustępy czyli zwrotki niemieckie: — „Francya musi być rozdartą, bo nie ma pokoju“ — zaczęliśmy wrzeszczeć po polsku: — A pamiętasz szwabie...“ — i rozpoczęła się wojna na języki, co ślina przyniosła, a nam nie żałowano: „hallunken“, „kojonen“. Taki gwar powstał, że aż patrol przybiegł i kosze znaczył. Cała afera skończyła się na tem, że nam okna pozamykano. Co tam im było, nie wiem, ale od tego czasu nas nie prowokowali.

Nareszcie przyszła i na mnie kolej stanąć przed sędzią śledczym, którym konsyliarz Smutny, wysoki, chudy, z zielonawem okiem i rudawym włosem. Powierzchownie słodki i grzeczny, a był wyzwoleńcem Zajączkowskiego, słynnego ze śledztwa dzieciaków w Samborze. Otóż gdym stanął przed konsylarzem Smutnym okuty w kajdany, zapytał się niby nie wiedząc, za co jestem okuty (chociaż sam mię kazał okuć, co mu też powiedziałem),

czas żywioł pracowity, w wielu miejscowościach brakujący we wschodniej Galicyi, stworzyć potrzebnego w kraju drobnego dzierżawcę, znaleść tem samem producenta i konsumenta, a równomiernem zaludnieniem prowadzić do powstania przemysłu fabrycznego i ochronić jednocześnie większych właścicieli od ostatecznej zagłady, to jest naglącem obecnie zadaniem, które Towarzystwo ochrony własności ziemskiej w kraju przeprowadzić pragnie. Towarzystwo stawia sobie za cel główny ulepszenie stosunków ekonomiczno-rolniczych w kraju, czego dopiąć zamierza:

1. przez utrzymanie większej własności jako żywiołu w naszych stosunkach niezbędnego;

2. przez zatrzymanie i kolonizowanie w kraju włościan emigrujących za granicę, ułatwieniem im nabycia części ziemi z większej posiadłości wydzielanych;

3. przez kierowanie właściwem zaludnieniem takich okolic kraju, w których brak rąk do pracy około roli, wpływa niekorzystnie na rozwój rolnictwa, i uniemożebnia wprowadzenie przemysłu fabrycznego w kraju;

4. przez wprowadzanie w życie dzierżawienia małych ferm przez włościan na wzór zachodniej Europy.

Zakres czynności Towarzystwa obejmuje opiekę moralną, prawną i fachowo-rolniczą, oraz pośrednictwo w zawieraniu wszelkich tranzakcyi, zdążających do powyżej wskazanego celu. Zatem zajmuje się wyszukaniem stron tak potrzebujących sprzedać jak i pragnących kupić ziemię, rozpoznaje stosunki gruntów do zbycia zgłoszonych, bada moralne i majątkowe warunki zgłaszających się do osiedlenia włościan, rozpoznaje wymogi prawne dóbr, z których wyłączenie gruntów jest zamierzone, pośredniczy przy układaniu punktów przedugodnych, dostarcza doradców prawnych dla przeprowadzenia czynności prawniczych, jakich wymaga przeniesienie własności, udziela z własnych funduszów zaliczek na koszta przeprowadzenia tranzakcyi, wchodzi w stosunki z krajowemi zakładami kredytowemi celem zapewnienia kredytu niezbędnego do uregulowania interesów między stronami i wreszcie urządza i przeprawadza tam, gdzie się to potrzebnem okaże, podział większych posiadłości gruntowych na częściowe fermy i wydzierżawienie ich osadnikom.

Celem podołania tym czynnościom wymagającym znaczniejszych sił finansowych, Towarzystwo lubo niemające finansowego interesu na widoku, zmuszone jest do ukonstytuowania się na wzór stowarzyszeń zarobkowych, a przeto do żądania od stowarzyszonych wkładek, czyli udziałów, które oprocentowane będą z dochodów Towarzystwa. Na pokrycie wyłożonych kosztów i uzyskanie odsetek od udziałów, pobierać będzie Towarzystwa od stron wynagrodzenie kosztów według taryfy, która ogłoszoną zawsze będzie.

Krajowe Towarzystwo ochrony własności ziemskiej, zarejestrowane z poręką do wysokości pięciokrotnego udziału, rozpocznie swoje czynności począwszy od ukonstytuowania się i ostatecznego uchwalenia statutów, skoro przystąpi doń tylu członków, iżby udziały ich wyniosły najmniej kwotę 50.000 zł. a. w. Każdy udział wynosi 200 zł. wpłaca się zaraz przy przystąpieniu do Towarzystwa, zaś reszta w trzymiesięcznych ratach po 50 zł. każda, ma być wpłaconą. Posiadającym jeden udział przysługuje jeden głos, pięć udziałów dwa głosy, i wreszcie dziesięć udziałów trzy głosy, które najwyżej jeden członek mieć może. Członkowie zaś piętnaście udziałów biorący, nie dysponują wprawdzie więcej niż trzema głosami na ogólnych zebraniach Towarzystwa, atoli uzyskują tytuł członków-protektorów i są stałymi członkami Rady nadzorczej Towarzystwa, złożonej z nich, i nadto z równej im liczby, w żadnym zaś razie nie niższej nad 7 członków, obieranych przez Ogólne zebranie Towarzystwa, w której to Radzie nadzorczej każdy członek jednym głosem dysponuje.

Zadanie przez Towarzystwo podjęte, jest niezmiernej doniosłości i stanowi radykalny środek, który zdoła zapobiedz ekonomicznemu upadkowi rolnictwa w Galicyi. Wiemy dobrze, że obecna chwila nie jest pomyślną do tworzenia instytucyi opartej na wkładkach pieniężnych, ale wiemy również, że to chwila może ostatnia, w której zapobiedz możemy, by ziemia nasza nie przeszła w obce, wrogie nawet ręce, a wszakże ta ziemia, to warownia narodowego rozwoju. Czują to dobrze nieprzejednani wrogowie nasi, skoro by zniszczyć żywioł polski, usiłują wyprzeć braci naszych z ojczystego zagonu. Założyciele przeto krajowego Towarzystwa ochrony własności ziemskiej, wzywają wszystkich czoło narodu stanowiących obywateli, by wzięli udział w tej pracy zacnej, narodowej i patryotycznej, a Bóg nam dopomoże.

Dola dzierzawców w Galicyi.

Kto zna stosunki naszej gospodarki rolnej w Galicyi, ten z przerażeniem patrzy w przyszłość, na czem się skończyć może ten straszny upadek i gdzie on kraj zaprowadzi. Otóż odebraliśmy korespondencyę od obywatela ziemianina, którego znając, stanowi on dla nas rękojmię tej prawdy, którą opisuje. Podajemy więc ten opis w całości, bo rzuca on nader jaskrawe światło na jednę z głównych przyczyn upadku rolnictwa naszego, i nieomal ogólnego parcia do bankructwa. Korespondencya ta brzmi dosłownie:

Z Rohatyńskiego, 10, Marca.

Szanowna Redakcyo! Posyłam niniejszą korespondencyę w celu zwrócenia uwagi Sz. Red. na nowy rodzaj bandytyzmu, uprawianego dziś w Galicyi, przez poważną już liczbę właścicieli majątków ziemskich, który to bandytyzm (wyraz ten jest zupełnie uprawniony) jest takiej natury, że uchodzi dotąd bezkarnie, gdyż trudno go pociągnąć nawet pod paragrafy ustawy karnej, chociaż pochłania bardzo wiele majątków ludzi prawych i pracowitych, prowadzi ich do ruiny i do kija żebraczego. Jeżeli ktoś czy to własną pracą długoletnią, czy to spadkiem po rodzicach lub krewnych, umiał w skromności żywota zachować mienie w gotówce, a nie chcąc żyć z tejże, uczciwą i pilną pracą zdobywał byt dla siebie i familii i zaufał uczciwości współobywatela ziemianina, a często nawet pana lub magnata, to czyż mógł się spodziewać, że pogrąży siebie i familię w niedostatek i nędzę?

A jednak niestety tak się dzieje, coraz częściej i coraz więcej szerzy się nędzy z tego powodu w kraju.

Nie wymieniam osób ani miejscowości, bo nie jest moim zamiarem podawać jednostki pod pręgierz opinii publicznej, gdyż to złe staje się prawie dziś ogólnem, pomimo chroniących nas praw. Czy bandytyzm ten mógłby się kwalifikować do powstrzymania go przez c. k. Prokuratoryę Państwa, pozostawiam to nietylko ocenie biegłych prówników i c. k. Prokuratoryi; ale byłoby do życzenia aby i nasze reprezentacye krajowe, mianowicie w Sejmach, zechciały się tą sprawą zająć, bo jest ona tak ważna, że się równa z największemi klęskami elementarnemi.

Że bandytyzm ten bardzo się przyczynia do pogorszenia stosunków agraryjnych i stanowi jeden powód więcej do upadku społeczeństwa wiejskiego, to także nie ulega wątpliwości. Bezkarność zaś pochłania coraz więcej niewinnych ofiar.

Bandytyzm ten uprawiają coraz śmielej panowie właściciele majątków ziemskich, biorąc się do tego w ten sposób, że robią majątkom swym sztuczną reklamę, a na zjazdach gospodarskich, wystawach i przy innych podobnych okolicznościach, opowiadają cuda o intratach, jakie mają z majątku, popierając słowa wrzekomymi dowodami. A że otoczenie słuchaczy zwykło się nie zastanawiać, to też sprytnie podniecana fama ustala wiarę o egipskiej ziemi, znakomitej gospodarce i dochodach. Gdy się takiemu właścicielowi dóbr udało w ten sposób ustalić opinię publiczną w towarzystwie wzajemnej adoracyi, znakomity gospodarz a właściciel dóbr szuka cichaczem „p o r z ą d n e g o“ dzierzawcy, aby mu ten złotodajny majątek wydzierżawić.

Co do orzeczenia „porządnego“ dzierzawcy, nie idzie tu o osoby i socyalne stosunki tychże, gdyż to są rzeczy obojętne dla pana dziedzica, czy to jest powinowaty, kuzyn, czy człowiek pracy lub lichwiarz, chrześcijanin lub żyd; to są rzeczy podrzędne, na które się nie „reflektuje“, byle tylko posiadał kwalifikacye na „p o r z ą d n e g o c z ł o w i e k a“. Kwalifikacyę takową stanowi możność złożenia kaucyi, jeżeli nie całorocznej, to przynajmniej półrocznej, w stosunku do tenuty dzierzawnej i zapłacenia umówionej raty z góry. P. dziedzic dowiaduje się pilnie, czy dzierzawca posiada osobisty kredyt; dowiaduje się o jego stosunkach familijnych t. j. czy familja jego posiada jaki majątek lub nie. Po tych wstępnych badaniach przystępuje się po pertraktacyi z p. dzierzawcą, a wtenczas biada mu, jeżeli nie zbada z największą skrupulatnością wszelkich podawanych mu warunków i jakości dzierzawy. Jeżeli natomiast uwierzy w „słowo uczciwości szlacheckiej“, gdy mu dziedzic opowiada cuda o tym majątku, który najdrobniejszą rzecz umie przedstawić tak po mistrzowsku w korzystnem świetle, że mu się udaje w zupełności ukryć wszelkie wady i niedo-

---

A on na to: — „Aha, to względem tej afery Dominikowskiego, to nie pięknie od księdza, aby ten podjudzał do bicia policaja. Dominikowski prostak bez wychowania, ale pan powinieneś być innym“.

A ja mu na to: „Obelga wyrządzona któremukolwiek z uwięzionych, jest obelgą dla nas wszystkich i zapala w nas krew. Policaj wziął dziś jego za kołnierz, jutro może mnie wziąć, a ten policaj to gbur, który za lada bagatelkę oburza się. A przecież policaje powinni być dla politycznych więźniów grzeczniejsi. Policaj ten uchwycił towarzysza więziennego za kołnierz; a gdy ten krzyknął: co ty mię za kołnierz chwytasz! wyrwały mi się wyrazy oburzenia: „Daj mu w mordę, żeby się nogami nakrył“, — nie sądząc, że Dominikowski zechce posłuchać i natychmiast wykona“.

Rzecz miała się tak: Przed tygodniem wyprowadził pałkarz Teofila Dominikowskiego, szlachcica dzierżawcę na przechadzkę. Przechadzając się, odezwał się tenże do mojego kosza: „Jak się masz księże“. — „Jak groch przy drodze“ — odpowiedziałem. B. D. był moim towarzyszem kozy w Sanoku. Z poczciwej rodziny, kawaler, bardzo silny i bez obłudy, pracowity, ale bez wykształcenia, słowem, gospodarz z gór sanockich. Gdy się dalej ten poczciwiec zapytał, czy mi czego nie trzeba, odezwałem się: „pieniędzy“, a on „i mnie brak tego“.

„Rozbój“, tak zwaliśmy jednego pałkarza najzłośliwszego, a byłto jakiś bojko z Beskidu, chłop wysoki, czarny i silny, unosi się gniewem i mówi do D. „niech pan nie gada, bo go zaraz zaprowadzę nazad do kaźni!“

— „A no spróbój!“

— „A co, spróbuję“, — i uchwycił Dominikowskiego za kołnierz. Obrażony szlachcic wrzasnął:

— „Co ty durniu, ty mię będziesz brał za kołnierz?“

Wtedy zawrzała we mnie krew i wrzasnąłem jak wyżej.

Nie trzeba było powtarzać, bo w okamgnieniu palnął D. pałkarza w łeb, tak, że się przewrócił. Krzyk tegoż zwołał patrol i D. pod czterma bagnetami odprowadzono do kaźni. Gdy go przyprowadzono do drzwi, stały garnuszki z jadłem. Dominikowski porwał za garnuszek gorącej jeszcze kaszy i palnął w łeb pałkarza, klnąc ile się zmieści. Wszyscy klaskali brawo. Z chmury tej miał uderzyć grom. Doniesiono o tem konsyliarzowi, a ten nakazał nas okuć w kajdany. Odtąd jednak byli pałkarze grzeczniejsi, a Rozboja usunięto.

Uśmiechający się S m u t n y odzywa się do mnie, że mi każe zdjąć kajdany, a potem patrząc mi w oczy, tak przemawia do mnie po niemiecku: „Pan jesteś jeden między wszystkimi księżmi, któremu rząd wyznaczył alimentacyę“.

A ja mu na to:

— „Dziwi mię to mocno, zkąd ja do takiej łaski u rządu przychodzę?“

— „Rząd wie o zachowaniu się pańskiem, a to szczególniej, że żywisz matkę staruszkę. Ale rząd żąda też od pana, żebyś nam przed sądem szczerą prawdę zeznał, a nie tak jak dotąd, żeś się wszystkiego wypierał. My wiemy, żeś pan brał wielki udział w tem powstaniu, żeś o rewolucyi najprzód wiedział i do niej lud gotował; dlatego żądamy, abyś wyznał szczerą prawdę. W końcu robię go uważnym, że przez takie zapieranie bardzo sobie szkodzisz i będziesz surowo karany. Pan jesteś księdzem, rachować trzeba swój charakter kapłański i przed trybunałem; tak jak Jezus przed sądem Piłata.

— „Już w Sanoku zeznałem prawdę i przy niej zostaję; innego zeznania nie uczynię, choćby mię i szubienica czekała, a zresztą, postąpcie sobie panowie podług przepisów, a mnie nie zmuszajcie do zeznawania tego, o czem nie wiem“.

— „A więc siadaj pan i odpowiadaj do protokołu“.

Usiadłem, a gdy mi chciał stawiać do oczu ks. Lecha, ks. Piękosza, Urbańskiego i chłopów, odpowiedziałem, że ks. Lech lubiał i w szkołach podchlebiać się profesorom i donosić im na kolegów różne plotki. Wiem, że gdyby tu się stawił, to powtórzy do ócz to, co nie z moich ust słyszał, bo jest podły, chociaż ksiądz. Nie potrzebna mi konfrontacya. Co się tyczy mego proboszcza, to wyznaję, że jego słowa są dla mnie święte, i co wyznał, musi być prawdą; może nie pamiętam tego; a co się tyczy pana Urbańskiego z Komborni, to temu w oczy powiem że łże. Chłopskie zaś zeznanie nie zgadza się z prawdą. Są wprawdzie rzucone słowa, ale sens przekręcony. (Tu mówię o charakterze ks. Lecha, że to co mu się w cztery oczy mówiło, mógł zataić i nie wyznawać).

Powróciwszy do kaźni, rozkuto mię. Opowiadałem sąsiadowi o łasce rządowej, a ten mię upewniał, że to tylko fortel Smutnego i tak rzeczywiście było.

Gdy mię nazajutrz wezwano do protokołu, rozpytywał się o różne szczegóły, a między innemi badał, dlaczego utorowałem powstańcom drogę do Wzdowa? Gdy mu zeznałem, że uczyniłem to z obowiązku kapłańskiego, aby nie dopuścić do mordów naszego ludu niezepsutego, — śmiał się z takiego tłumaczenia pan konsyliarz. (C. d. n.)

godności majątku. A nie jest to łatwo uchronić się od takiej zasadzki, jeżeli p. dziedzic bene natus et possesionatus, a zajmujący często publiczne honorowe stanowiska w obywatelstwie, błyszcząc aureolą patryotyzmu i wszelkiemi akcesoryami z temiż złączonemi, oto czy łatwowiernego kandydata na dzierzawę taką życzliwością i opieką, takiemi serdecznemi radami, i przyjmuje go z taką staropolską otwartością i gościnnością, w której mu sukkursuje Jaśnie Pani i cała rodzina, że nie pozostawia mu nawet czasu do namysłu i badania rzeczywistości. Poczciwiec nasłuchawszy się, że tylko nieunikniona potrzeba zmusza Jaśnie Pana do wydzierzawienia majątku, z którego gdy wydzierzawi i połowę tego mieć nie będzie ile ma obecnie przy własnem gospodarstwie niedołęłnem, przy niemożności dopilnowania wszystkiego samemu, z powodu poświęcania się dla kraju, poczciwiec dzierzawca nie śmie nawet powątpiewać, gdyżby tem samem ubliżył tak znakomitemu obywatelowi, tak zacnemu, tak szlachetnemu i poświęcającemu się dla kraju, gdyby zechciał odważyć się przekonać o tym raju rolnika własnemi oczami. Gdy ofiara tak już usidlona, pan dziedzic nie waha się ani chwili żądać dwa razy tyle tenuty dzierzawnej, ile mu majątek przynosi rzeczywiście. Gdy zaś u dzierzawcy zaczynają się objawiać jakieś powątpiewania, Jaśnie Pan czuje się wysoce obrażony i zrywa dalsze pertraktacye, aby wrzekomo nie dyskredytować majątku, poczem głosi: — „nie chciałem mu wypuścić, bo mi się z wejrzenia nie podobał!“

Lecz na cóż by się zdało i badanie majątku, jeżeli nie ma żadnych zgoła rejestrów, z którychby się dowiedzieć można, co się kiedy urodziło, ile się rocznie sprzedaje rzeczywiście, ile przynoszą suche dochody itd. Jeżeli się uda do propinatora, ten mu zapewne prawdy nie powie; a jeżeli pytający nie weźmie dzierzawy, to właściciel będzie się mścił na nim. Uda się biedak do sąsiadów, ci w rzadkim tylko wypadku coś powiedzą, nie chcąc Jasnemu sąsiadzwi psuć interesu, a jeszcze co więcej, wprowadzają w błąd ofiarę, zwącą się kandydatem na dzierzawcę. Wprawdzie u niektórych Jasnych Panów znajduje się znakomita wzorowa buchalterya gospodarska, nie zwykła, ale tak nazw. podwójna, a bodaj czy i nie włoska, jako superideał rachunkowości. Tu jednak zachodzi często pewna tajemnica, a to taka, że gdy rzeczywista rachunkowość praktykowana cały rok mieści się na kilku arkuszach papieru, w notatkach ekonoma, pisarza, lub na karbach gumiennego, a kasowość spoczywa w tajnikach kieszeni Jaśnie Pana, sprowadza się corocznie ze Lwowa rachmistrza buchhaltera, który w ciągu kilku tygodni podług „dyktanda“ dziedzica przeprowadza z tych świstków i karbów całą rachunkowość, zakończając ją zestawieniem bilansu, Naturalnie ze świetnymi rezultatami. Jestto wprawdzie kosztowny luksus, bo co rok wynosi od 100-200 złr; ale natomiast oddaje wielkie usługi przy każdem oszacowaniu majątku, zaciąganiu pożyczek, lub wydzierzawianiu ziemi. Swiadczy too „porządnie“ prowadzonem gospodarstwie, o liczeniu się z samym sobą Jaśnie Pana i oświetla go aureolą postępowego znakomitego gospodarza. A któżby śmiał powątpiewać o sumienności tej buchalteryi!

Gdy przyjdzie do targu o tenutę to rozpoczyna się znowu komedya udawania, ile to dziedzica kosztuje przezwyciężenie, że wypuszcza majątek w dzierzawę; rozumie się, że jeżeli majątek przynosi 1000 złr., wydzierzawia się go tylko za 2000 złr. Ile to przytem zaklęć na honor szlachecki, dobro rodziny, dobro jego dzieci tu w grę wchodzi, a to tylko jedynie na to, by otumanić do reszty upatrzoną ofiarę, która w szpony takiego bandyty się dostaje. Często odbywa się targ nawet o 5 złr., dziedzic przysięga, że nie może ustąpić, a to tylko w tym celu, by ofiara uwierzyła, ile szlachetnego dziedzica kosztuje pozbycie się tego majątku, z którego połowę dochodów się wyrzeka.

Następuje nareszcie obopólne porozumienie co do głównego punktu, t. j. raty dzierżawnej. Resztę warunków może sobie dzierzawca stawiać, jakie mu się tylko podoba; na wszystkie właściciel przystaje, bo wie o tem dobrze, że dzierzawca nie będzie w możności dotrzymania jego warunków, ucieknie sam, albo go wyrzucą z dzierzawy, bo właściciel stara się jedynie o to, aby jak najprędzej spisać akt notaryalny, w którym głównymi punktami są: wysokość rocznej tenuty, termina wypłaty, złożenie kaucyi, a ostatni punkt — że wydzierzawiący nie ręczy dzierzawcy za jakiekolwiek dochody.

Gdy właściciel doprowadzi do takiego stadyum, staje się panem sytuacyi, a sąsiedzi mówią: „udało mu się złapać człowieka“. Taki biedak gdy złożył kaucyę przy podpisie aktu notaryalnego, zapłacił z góry czynsz dzierzawny, uiścił się z porękawiecznego dla Jaśni Pani Dobrodziejki, sprowadza się do majątku i wtenczas dopiero zapóźno poznaje, że został haniebnie oszukany.

Grunta zaniedbane, zachwaszczone, zaperzone, istne nieużytki. Łąki zamszone, szczawy rodzące, walące się budynki, brak płotów, rowów, a obsiewy obliczone z góry na oszustwo i ruinę dzierzawy, — słowem, dzierzawca objął pustkę, nie dającą żadnego dochodu. Ale biedak w imię Boże bierze się do pracy, łudzi się nadzieją, że jak doprowadzi do ładu, to mu się chociaż nakład wróci. Tymczasem nadchodzi termin płacenia raty, a gospodarstwo nie dało dochodów; zasoby jakie miał, pochłonęła rata dzierzawna, kaucya, pochłonęła administracya, kupno bydła i narzędzi gospodarczych, słowem zasoby się wyczerpały, a dochodów żadnych z majątku. Udaje się w tej biedzie do właściciela, prosząc o zwłokę do zapłacenia raty. „Ja panu nie poradzę“ — odbiera odpowiedź — ratę musz mi pan w terminie zapłacić, inaczej mam kaucyę i odbieram gospodarstwo.

I tuż przedstawia się przed oczy oszukanego ruina kompletna, gdy nie zapłaci raty. Nic nie poradzi, trzeba się ratować; sprzedaje się więc wszystko co ma jaką wartość, sreberka żony wyprawne, zegarki, kolczyki, pierścionki pamiątkowe, rodzinne, a nawet idą futra żony i córek i wszystko, co tylko jaką taką wartość posiada. Pożycza się tu i ówdzie, a zebrawszy tenutę, niesie się ją niesumiennemu dziedzicowi. Ogołociło się siebie, rodzinę, znajomych i przyjaciół, a wszystko zabiera szlachcic, — właściciel majątku.

Wyjałowiona ziemia nie chce od razu rodzić; potrzeba na to czekać kilka lat, aby ją ulepszyć, a tu już nie ma co sprzedać i nie ma gdzie pożyczyć. Kilkuletnia pracą znękała, zbiedziła biedaka, i tak zmordowanego wyrzuca taki właściciel z resztą bydła, tytułem niezapłacenia raty, i z człowieka posiadającego przed kilku laty skromny, ale wystarczający dlań majątek, robi żebraka. Użył go tylko za narzędzie, aby zabrać majątek jego krewnych, jego przyjaciół — słowem, aby zrujnować kilka rodzin naraz. Ale nie koniec na tem. Taki akt notaryalny służy mu do dalszych operacyj, gdyż jeżeli się zrujnuje jednego, szuka się za drugim i opowiada, że tamten sam sobie winien, nie umiał gospodarować, nie miał dostatecznego kapitału i cały ciężar winy spada na obdartego, zrabowanego dzierzawcę.

W obec drugiego kandydata udając wspaniałomyślność, opuszcza na pierwsze trzy lata 10—20%, i tak go łapie. Jeżeli zaś właściciel nie znalazł zaraz drugiego dzierzawcę i sam musi objąć gospodarstwo, to mu się znowu wiedzie bajecznie i tak długo szuka, aż znowu go ten sam los spotka, co poprzednika. Zresztą komuż nie jest wiadomo, jaka ilość zbankrutowanych dzierzawców jest dziś wymownem świadectwem tego bandytyzmu. Ile już setek rodzin po miastach i miasteczkach wegetuje na bruku w nędzy i rozpaczy, przeklinając tych, którzy im tę dolę zgotowali?

Ale nie tylko kategorya dzierzawców pada ofiarą p. dziedzica. Z takiem aktem notaryalnym udaje się ten „Industrieritter“ do Banku, legitymuje się tem, że ma stały dochód z majątku taki a taki, wpływa tym aktem na oszacowanie majątku i zaciąga na te dobra pożyczkę nad ich wartość. Jeżeli mu się ta trzecia spekulacya nie uda, to zostaje mu jeszcze oszukańcza sprzedaż majątku, nieraz w podwójnej rzeczywistej wartości.

Jeżeli uzyskał pożyczkę, staje się niewypłacalnym, a Bank dopiero wtenczas przychodzi do przekonania, że się dał złapać, kiedy we własną administracyę odbiera majątek i że dał pożyczkę bez pokrycia.

O takich wypadkach można co dnia słyszeć w prywatnych kółkach, chociaż nie dochodzą do publicznej wiadomości, bo dzienniki nie chcą tracić swych przyjaciół politycznych.

Oprócz takich pseudo Jaśnie Panów i Wielmożnych dziedziców, którzy sami pertraktują z dzierzawcami, jest jeszcze drugi rodzaj właścicieli dóbr, a to już wielkich panów i magnatów, którzy nie zajmują się takiemi bagatelami sami, ale oddają całe sprawy majątkowe w ręce pełnomocników, a w rzadkich tylko wypadkach można do takich panów apelować, gdyż wiara ich w tych pełnomocników jest tak wielka, iż od nich apelacyi nie ma. Bywają wprawdzie pełnomocnicy, ludzie zacni, znani z prawości, którzy pojmują obopólne dobro w stosunku właściciela dóbr do dzierzawcy, i dobro kraju. Ale są i tacy, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności wyniesieni zostali na tak ważne stanowisko. Nie wyszli oni ani z mięsa ani z pierza, ani z wiedzy ani z prawości, ale z dziwnego kaprysu pańskiego, przeszedłszy przedtem całą drabinę stopni służby, zacząwszy od psiarni, kuchni, kredensu, lokajstwa, pisarzy i t. d., aż w końcu zajaśnieli na pełnomocnictwie magnackich fortun, którychby nie jedno książątko niemieckie mogło pozazdrościć. Posiadali oni lub posiadają nieograniczone zaufanie, pomimo, iż całemu światu wiadomo o tem, co się dzieje z fortuną magnacką, jak się takowa chyli do ruiny i w końcu zmusza właściciela do niszczenia odwiecznych i lasów nadmiernego obciążania hypoteki. Taki pełnomocnik zasłaniając się świętością swego obowiązku, pilnowania dobra swego pana, zamienia się w prawdziwą pijawkę lub wampira dzierzawcy. Ten albo musi iść „na rękę“ i opłaca się bezmiernymi kubanami, albo musi być na to przygotowany, że zostanie zrujnowany i obdarty bez litości.

Któż szczególniej w Galicyi nie zna takich „słowików“, pełnomocników, którzy wyszedłszy jak to wyż powiedziano z psiarni lub z kuchni, dorobili się krociowych, nieomal milionowych fortun, a dziś stawają śmiało w rzędzie panów, jako równi z równymi. Niechby tam ktoś zajrzał do tych dorobków, a przekonałby się, ile tam łez i nędzy ludzkiej, ile mienia pracowitych dzierżawców wydartego im, złożyło się na ten nowy splendor obywatelski. Któż nie zna w Galicyi magnackich fortun, które aczkolwiek istnieją jeszcze, ale zostały formalnie podkopane, podminowane, i daj Boże, aby jeszcze jedno lub dwa pokolenia przetrwały, bez popadnięcia w zupełne bankructwo.

Ale wróćmy do pierwotnego zakroju. Nie dosyć sypać frazesami, które mogą się zdawać nieprawdopodobnymi. A więc przytoczę to, com zebrał w ciągu żywota i z mego osobistego doświadczenia, na co patrzałem własnemi oczami. Niechaj tu posłuży chociaż kilka przykładów.

Pan N. kupuje majętek, w którym zastaje żydów na dzierżawie. Majątek kompletnie zrujnowany; wypowiada więc żydom dzierżawę i obejmuje we własną administracyę, która trwała cały rok. P. N. ma kuzyna; jedzie do niego i ofiaruje mu dzierżawę tego majątku i pozostawia mu czynsz trzechletni na restauracyę budynków.

Kuzyn się sprowadza, gospodaruje przez rok, kupuje zboże na chleb dla siebie i czeladzi, bo odebrał pola nie zasiane; restauruje budynki i czyni różnorodne wkłady, pomimo, że nie ma kontraktu notaryalnego. Po roku szlachetny kuzyn wypowiada umowę, odbiera dodatki, jakie przyrzekł do dzierżawy, jakoto: gorzelnię, młyn, drzewa 250 sągów do gorzelni i ustanawia czynsz o 100% wyższy, aniżeli płacili żydzi. Po upływie 6 lat żąda znowu podwyższenia o 100 prc. tenuty dzierżawnej i pozostawia wybór: „albo płać, albo się wyprowadzaj“. Ponieważ dzierżawca już w pierwszych latach czyli pierwszym 6cio-leciu dzierżawy miał kilka tysięcy złr. straty, i było dlań niemożebnem więcej płacić, nie pozostawało mu nic innego, jak dzierżawę opuścić.

Ten sam właściciel oglądał się znowu za innym dzierżawcą, ale już twierdził, że tylko swemu kuzynowi tak tanio wydzierżawiał. Po długiem szukaniu złapał wdowę, która z trzema córkami miały sławę dobrych gospodyń. Otóż tym paniom wyszła dzierżawa, którą trzymały, i wzięły dzierżawę od p. N., płacąc tenutę jeszcze o 500 złr. wyższą. Na tej dzierżawie siedziały lat 9, w którym to czasie umarła matka ze zgryzoty i zmartwienia, widząc przed oczami nieuniknioną ruinę, i nieszczęśliwą przyszłość córek. Dzisiaj panny te pędzą żywot w nędznej chłopskiej chacie, straciwszy wszystko, a właściwie wziął od nich właściciel o 9000 złr. więcej, jak był wart cały majątek. A dodać muszę, że dopuścił się tego człowiek, który sam prawie z niczego dorobił się majątku i dziś dysponuje krociami.

Drugi wypadek. Dowiedziałem się, że jest do wydzierżawienia majątek blisko mej rodziny, należący do małoletniej hr. N., zostającej w kurateli. Udaję się do kuratora, ten prezentuje mi kontrakt byłego dzierżawcy na 2800 złr. rocznej tenuty. Żąda odemnie wiele więcej, i po długich targach podnosi czynsz tylko o 500 złr., tak, że zobowiązałem się płacić rocznie 3300 zł. i podatki. Gdy wniosłem moją ofertę, i żądaną kaucyę 4000 złr., dowiedziałem się, że istnieje drugi kontrakt z przeszłym dzierżawcą, który płacił równo 2000 złr. W ośmiu dniach postarano się o potwierdzenie mej oferty, a ja rad nie rad sprowadziłem się i objąłem gospodarstwo w 10-letnią dzierżawę. Tym czynem wyłudzono odemnie 8.000 złr. w. a. Ale mając odemnie kontrakt na tak wysoką tenutę, familia szukała kupca na ten majątek, za który ofiarowano i przyjęto cenę 46.000 zł., tylko Sąd wskutek mojej oferty nie uwzględnił tej sprzedaży; a gdy się trafił żydek, który dawał 60.000 złr., łapiąc się na mój kontrakt, małoletnia została upełnoletnioną i majątek został sprzedany. Żyd potrafił dać taki rozgłos temu majątkowi, żądając rocznej tenuty 7.000 zł., że Bank kredytowy dał się złapać na tę plewę i zaliczył na majątek 40 tysięcy złr. pożyczki. Mnie się dzierżawa skoń-

czyła, nowy dziedzic ogłosił krydę i Bank przyszedł do majątku, z którego we własnej administracyi nie ma najmniejszego dochodu.

Trzeci przykład: U pana X. dzierżawcy pobankrutowali, a na dobitek zostali pociągnięci do odpowiedzialności sądowej za lekkomyślną krydę. Któż byli ci dzierżawcy, a kto taki co ich majątek wydzierżawił?

Pierwsi byli to żydkowie, którzy się w tym majatku porodzili na arendzie i którym ojciec pozostawił kilka tysięcy majątku. Trudnili się handlem i wypasem bydła. Właściciel majątku głoszony jako człowiek zacny, używający ogólnej opinii poczciwego i szlachetnego człowieka, potrafił wyzyskać jednak ich nieświadomość i wydzierżawił im majątek, dający co najwięcej 5000 złr. rocznego dochodu za 9.500 złr. W pierwszym zaraz roku tracą cały swój majątek częścią w gospodarstwie, częścią we wkładach gospodarczych. Widząc swą ruinę, łudzą się, że odzyskają stratę w dalszych latach; ratują się pożyczkami na wysoki procent, a po czterech latach, gdy wyczerpali kredyt i zrobili 18.000 złr. długów, popadli w niewypłacalność, właściciel zabiera im tytułem zaległej raty ostatek bydła, a nakoniec dostają się za lekkomyślną krydę do kryminału, dzisiaj są biedakami i żebrakami bez utrzymania, a całe 18.000 długu który zrobili, przeszły do kieszeni szanownego i czcigodnego p. X.

Pan dziedzic, mając taki kontrakt w ręku, szuka nowego dzierzawcy. Po długiem szukaniu znajduje takiego, który znowu zawierzył jego słowom. Opuszcza mu wprawdzie w kontrakcie 2.500 złr,, lecz gdy się dzierzawca sprowadza, przekonuje się, że na samych t. zw. suchych dochodach oszukano go o 2.000 złr. Gdy to przedstawił panu X., ten mu odpowiada: — ,,czy ja panu przeszkadzam mieć te dochody? Pan się obowiązał płacić, ja mam pańską kaucyę i akt notaryalny, w którym za żadne dochody nie ręczę".

Czwarty wypadek: Pan J. ma majątek wartości 30.000 złr. i ma go na sprzedaż, ale nie może złapać żadnego ,,porządnego" człowieka. Otóż posyła po pierwszego lepszego żyda, i mówi mu: ,,bierz dzierżawę". Ten oświadcza, że niema pieniędzy. ,,To nic nie szkodzi. Ty podpiszesz akt notaryalny, że bierzesz odemnie dzierżawę za 3 500 złr., że mi dajesz kaucyę i sprowadzasz się. Będziesz siedzieć i robić co ja ci powiem, a jak sprzedasz majątek, to dostaniesz 1000 złr. Mając taki kontrakt notaryalny w ręku, złapał kupca, który na podstawie tego aktu uwidoczniającego dochód z majątku, zapłacił za ten majątek 55.000 złr., a zatem 25.000 złr. nad wartość.

Przytoczyłem tych kilka wypadków, za których prawdziwość poręczam, i w danym razie mogę każdy z nich udowodnić.

Nie byłoby jednakowoż nic strasznego, bo takie wypadki się działy i dzieją nieustannie. Gdy jednak w Galicyi przeszły wszelką normę i stają się prawie powszechnymi, to nie trudno przewidzieć, jaki los czeka tę ziemię ojców naszych, w co się ona obróci i w czyje przyjdzie ręce. Bo gdyby się takiego bandytyzmu dopuszczali fachowi oszuści i wyzyskiwacze, pozbawieni jawnie czci i honoru; — ale niestety, czynów takich dopuszczają się ludzie majętni, mający stanowisko socyalne ustalone, osoby zaliczające się do wyższego towarzystwa i w tych sferach się tylko obracające. A jakież to różne pobudki do takiego wyzyskiwania! I tak: W pierwszym wypadku człowiek bardzo zamożny, który na dochody z tego majątku bynajmniej nie czeka, a uczynił to jedynie z próżności, aby mógł powiedzieć, że mu majątki tyle przynoszą. W drugim wypadku czynny kurator, adwokat; ten nie tyle jeszcze winien, bo chciał po prostu coś utargować, zwyczajnie jak adwokat. Ale rodzina nieletniej hrabiny działała już z całą świadomością, aby oszukać żyda, a ten ratując się i w chęci zysku podszedł Bank a Bank dzisiaj używa tego aktu notaryalnego na dalszą ponętę i szuka, aby złapać kogo.

W trzecim wypadku człowiek ,,porządny" na pozór szlachetny, dobroczynny, ale więcej chciwy niż potrzebny grosza, przez obłudę dochodzi do rezultatów.

O czwartym wypadku wolę już nareszcie zamilczeć, bo jest ohydny w całem słowa tego znaczeniu i komentarza nie potrzebuje.

Tak się u nas dzieje prawie na całej linii. Słusznie też powiedział książę Sapieha przy zamknięciu posiedzeń towarzystwa gospodarskiego że nasi właściciele dóbr zajmują się tylko o tyle gospodarstwem i swymi majątkami, o ile wymaga potrzeba przeprowadzenia jakiego interesu finansowego. Po za tem rola i gospodarka nic ich nie obchodzi, jest im prawie obcą. Szkoda tylko, że książę pan nic nie mówił o dzierzawach, w jaki sposób się takowe praktykują w Galicyi. Tak jest, przyszło u nas do tego, że gospodarka staje się naszym właścicielom dóbr coraz więcej obcą, w rzadkich tylko wypadkach spocznie oko pańskie na ziemi ojców, a jeszcze rzadziej dotyka się jej, by popracować jak Bóg przykazał. Jeżeli więc ta karmicielka przestaje być szanowaną i miłowaną, a zamienia się ją tylko na artykuł handlowy przy pomocy wszelkich niecnych frymark i ojczymowskiego wyzyskiwania, a dziś gdy już nie ma pańszczyzny, skrapia ją się łzami i obciąża przekleństwami wyzyskiwanych dzierzawców, rujnowanych rodzin, wtrącaniem tychże w objęcia nędzy, to czegoż się mamy spodziewać, jaka nas czeka przyszłość?! Kto osiędzie na tych zagonach ojców naszych w następnych pokoleniach?

Straszną prawdę wyrzekł w sejmie krajowym przed kilku laty Aleksander Krukowiecki twierdząc, że jesteśmy na drodze do bankructwa, że stoimy nad przepaścią.

Straszne było oburzenie, ale jak widzimy niesłuszne, bo Krukowiecki wiedział co mówił, i bodaj aby się słowa jego nie zamieniły w zupełne proroctwo.

Nie pomogą tu wiece krajowe, nie pomogą ankiety i rezolucye, nie pomogą towarzystwa ku wzajemnej pomocy, jeżeli panowie właściciele dóbr ziemskich nie cofną się na drogę uczciwości, honoru i poczucia czci narodowej. Bez tego zwrotu musimy przepaść i przepadniemy!

Bank kryłoszański przed Trybunałem karnym we Lwowie.

(Dokończenie).

Aby nas ktoś nie posądził, że podając ten nasz pogląd na bank kryłoszański, podajemy twierdzenia nieprawdziwe, to możemy się odwołać na sprawozdania dzienników, a nie tylko polskich, ale n. p. takiego *Diła*, którego nie można posądzić, aby się posiłkowało fałszem i rzucało obelgi: ale czyni to w obec tych, ktorzy mieniąc się być Rusinami, w tak wstrętny sposób dopuścili się formalnego rozboju i frymarki na ruskim groszu narodowym.

A więc jeszcze raz przypominamy, w jakąż to aureolę prawości, zacności nieposzlakowanej, a nareszcie rozumu, ubierała się cała dyrekcya banku kryłoszańskiego, wraz z Radą zawiadowczą. Wszakżeż tam zasiadały same znakomitości i głośni wrzekomo patryoci ruscy, którzy jak kokosze troskliwe zwoływali pod skrzydła swe opiekuńcze całą Ruś galicyjską. I cóż się dziś pokazuje przed kratkami Sądu karnego? Znakomitości te występując jedna po drugiej wobec trybunału i licznej publiczności, odgrywają ciekawą rolę komedjancką, dając sobie głośno patenta niby na idyotów, bezwiednych bałwanów, nie mających pojęcia ani o kodeksach prawnych, ani o ustawach i zaprzeczają wszelkiej świadomości o znaczeniu takiego banku, o obowiązkach dyrektorów, członków Rady zawiadowczej, kasjerów, kontrolerów. Mieli oni niby tylko swego Michałka, który nad nimi miał taką władzę, jak nauczycielka lub nauczyciel w szkółce froeblowskiej nad małą dziatwą, która się zaledwie chodzić dopiero nauczyła.

Takie świadectwo dał sobie p. dr. Iwan Dobrjański, **adwokat**, a nawet profesor prawa na uniwersytecie lwowskim. Nie zarumienił się nawet, gdy się przyznawał, że jest bezwiednym idjotą, który nie miał nawet wyobrażenia, co oznaczał taki bank, chociaż był jego dyrektorem. I w takie to ręce i pod taką opiekę społeczeństwo ruskie oddawało całe swoje mienie na pastwę wszelkiej nazwy rabunku i rozboju.

Aby jednak te rzeczy wyraźniej przedstawić, przytoczymy chociaż kilka ustępów i scen, jakie się przed kratkami trybunału karnego odegrały. I tak:

P. dr. Iwan Dobrjański na pytanie przewodniczącego odpowiada:

.... „P. Michałko cieszył się naszem pełnem zaufaniem. Z czasem spostrzegliśmy, że on sprawy traktował lekkomyślnie, udzielał kredytu osobom, które nań nie zasługiwały, i przekonaliśmy się, że p. Michałko nie odpowiadał naszemu zaufaniu.

Przew. Czy wiadomo panu co o tem, że Michałko w r. 1880 fałszywie zestawił bilans.

Sw. O tem nic nie wiem.

Przew. Przecież byłeś pan dyrektorem i podpisywałeś bilans.

Sw. Bilans podpisałem, jednak nie przechodziłem pozycyj, mając zaufanie do p. Michałka.

Przew. A czy wiadomo panu co o mankach kasowych?

Sw. O tem — zdaje się — była mowa w dyrekcyi i w Radzie zawiadowczej. Pytano, co zrobić z temi mankami? Michałko mówił że o te manka nie można podejrzywać ani kasjera Jamińskiego, ani Derżka; inaczej, bylibyśmy ich oddalili. Upoważniliśmy wtedy Michałka jako nadbuchaltera, aby te manka przeprowadził buchalteryjnie w księgach, jak uważa.

Przew, A co panu wiadomo o tych 64 wekslach, które Michałko w r. 1883 wziął z kasy banku reeskontu?

Sw. Nie miałem o tem wiadomości, gdyż nie miałem ewidencyi w tych sprawach. Sprawy te prowadził Michałko, a do pomocy był mu przydany z Wiednia Ciepanowski, buchalter i dyrektor biura. Do tego oddziału nie mięszałem się".

Dalej na zapytanie p. przewodniczącego, czy weksle, które Michałko „wziął na siebie" miały potem żyro dyrekcyi, — p. Iwan Dobrjański odpowiada:

„Żyro dawałem ja, albo ks. Merunowicz. Michałko przedkładał nam, a my w zaufaniu do Michałka, kładli swoje podpisy. Oczywiście, mogliśmy podpisać, nie wiedząc co. Michałko mógł nam coś podsunąć.

Radca Duniewicz: Powiedziałeś pan, że tak rozumiałeś, jakoby Michałko wziął Kohna weksle na siebie. Wziął do kieszeni, znaczy — ukradł.

Sw. Nie — ja uważałem to jako dług Michałka w banku, który on pokryje gotówką.

Radca Dun.: Dobrze, jeżeli pan myślałeś, że on za te weksle, które wziął sobie, złoży gotówkę, — to dlaczegoż nie starałeś się o tem przekonać, czy się to stało? Łatwo powiedzieć: „ja biorę na siebie". Ale byłeś pan przecież dyrektorem! Powinieneś był przecież wiedzieć, co się z tą sprawą stało!

Swiadek. Ja byłem zajęty w oddziele hipotecznym.

. . . .

Swiadek Julian Jamiński zeznaje:

„Byłem urzędnikiem banku od założenia aż do 1. Lutego b. r. Wzięto mię z banku włościańskiego. Z początku byłem agentem banku w Samborze, potem w Brzeżanach, a w r. 1885 wezwano mię do Lwowa i oddano mi kasę. Do mnie należały wpłaty i wypłaty. Jeżeli kto przychodził z wekslem, to dyrekcya uchwalała i asygnowała wypłaty.

Przew. A kto podpisywał asygnaty?

Sw. Podpisywał Michałko.

Przew. Przecież asygnatę mieli podpisać obaj dyrektorzy.

Sw. Tak już było, że tylko jeden podpisywał.

Przew. A czy bez asygnaty wypłacałeś pan kiedy?

Sw. Z początku p. Michałko dawał asygnatę z swoim podpisem, a potem i ustnie kazał wypłacać.

Przew. I pan wypłacałeś?

Sw. Wypłacałem. (Senzacya). Tak już było postanowiono z dyrekcyi i tak mi polecono.

Przew. A któż miał klucze od kasy wekslowej?

Sw. Kontrolor Derżko i ja, t. zw. ,,Mitsperre".

Przew. A Michałko miał przystęp do kasy?

Sw. Jak kasa była otwartą, to chodził do niej.

Przew. I pan tego nie widziałeś?

Sw. Nie mięszałem się.

Przew. W śledztwie zeznałeś pan, że Michałko brał weksle z portfelu bez kontroli?

Sw. Brał.

Przew. I mógł brać ile chciał?

Sw. Mógł.

Radzca Duniewicz. W taki sposób, cała działalność pańska ograniczała się na odmykaniu i zamykaniu kasy. Czemże właściwie pan byłeś, czy odźwiernym, czy kasyerem?

Sw. Ja Miałem „Mitsperre".

Radzca Dun. To pan swój urząd pojmowałeś tak, jak stróż, który otworzy bramę kamienicy, i niech sobie idzie kto chce. Weksel — to pieniądz. Musiałeś pan dostawać t. zw. „Belege". Byłeś pan odpowiedzialnym za weksle!

Radzca Nitarski. Czy jak Michałko brał weksle, to zapisywał kto?

Sw. Ja nie wiem.

Prokurator. A któż wie? Dyrektor dr. Dobrjański nie wie, pan kasyer, nię wiesz, — więc któż ma wiedzieć?

Sw. Ja nie wiem.

Radzca Dun. Na co właściwie miałeś pan klucz?

Sw. Aby z kasy nic nie przepadło.

Prok. A gdyby dyrektor chciał co z kasy „świsnąć"?

Sw. uśmiecha się i nie daje odpowiedzi.

Radzc. Dun. Czy pan mając klucz od kasy miałeś uważać na to, kto bierze i ile bierze weksli?

Sw. Weksle wydawał kontroler.

Radz. Dun. Pięknie. To właściwie pan byłeś kontrolerem a kontroler kasyerem. I pan filie organizowałeś! Musiały te filie pięknie wyglądać!

Sw. W naszym banku było już tak zaprowadzono, że kasyer nic nie mógł wiedzieć.

Rad. Dun. Ileż panu za to płacili, żeś pan otwierał i zamykał drzwi od kasy?

Sw. 800 złr.

Radzca Dun. Tę służbę mógł był stróż spełniać daleko taniej.

. . . . , ...

Swiadek ks. Eustachy Merunowicz, b. dyrektor Banku kryłoszańskiego, na zapytanie przew., czy mu wiadomo co o fałszywym bilansie odpowiada:

„Buchalterya przedkładała bilans na 2—3 dni przed Zgromadzeniem i zawsze mówiono, że wszystko w porządku. O „pomyłkach“ w bilansach nic nie wiem“.

Przew. O mankach w kasie wiadomo panu?

Sw. I o tem mi nie wiadomo.

Przew. Byłeś pan dyrektorem i członkiem Rady zawiadowczej?

Sw. Nie wiem.

Przew. A była kiedy w dyrekcyi lub w Radzie mowa o tych mankach?

Sw. Była raz mowa w Radzie o jakimś fałszywym wekslu na kilka tysięcy złr., ale o mankach nie było mowy.

Przew. A o 64 wekslach, które wziął Michałko, wiadomo panu co?

Sw. O tem nic nie wiem. Byłem od r. 1882 przy oddziale zastawniczym. Oddział ten znajdował się w parterze, a dyrekcya na piętrze. Często i cały tydzień nie chodziłem na górę. Byłem bardzo zajęty.

Przew. Michałko mówi, że dyrekcya wie o sprawie tych weksli.

Sw. Ja nie wiem. To wiem, że Michałko zawsze starał się o pieniądze i rzeczywiście był w tym względzie bardzo zręcznym. Ale co do sprawy tych 64 weksli, to rzeczywiście nie przypominam sobie, abym coś podobnego słyszał.

Przew. Pan jako dyrektor podpisywałeś weksle?

Sw. Czasem podpisywałem konsygnacyę weksli dla reeskontu.

Przew. I wiedziałeś pan, na jaką potrzebę?

Sw. Nie. Pieniędzy potrzeba było codziennie. Nie wchodziło się w to, na co i ile potrzeba, to już wiedział Michałko. On zajmował się temi sprawami.

Przew. Przypominasz pan sobie weksel, na którym swój podpis zakwestyonowałeś?

Sw. Tak było. Ja miałem zakręt grubszy, a ten był cienki.

Przew. Czy skarżył się kiedy Michałko przed panem, że Kohn go oszukał, dając mu złe weksle?

Sw. Tego nie wiem i nie przypominam sobie. W r. 1883. nie troszczyłem się o to, co się dzieje w dyrekcyi, gdyż pilnowałem swego oddziału.

Rad. Dun. Czy pan jako dyrektor wglądałeś kiedy w rachunki, w książki?

Sw. Ja miałem swój oddział, a do rachunków kasowych nie wtrącałem się. Za cały czas dyrektorstwa nie przejrzałem ani jednej cyfry.

Rad. Dun. Kasyer Jamiński mówi, że zwracał pańską uwagę na nieprawidłowości Michałka.

S w. Nie nigdy.

Następuje konfrontacya z Jamińskim.

P. Jamiński. Przecież przedstawiałem całą manipulacyę z notatkami, a pan powiedziałeś mi na to: „Panu się to nie podoba; zdaje się chciałbyś powrócić do Brzeżan“.

Ks. Merunowicz. Już ta wrzekoma odpowiedź moja dowodzi nieprawdy. Gdybym był to panu powiedział, to byłoby „grubiaństwo“. Przeciw temu zastrzegam się.

P. Jamiński obstaje przy swojem. Na tem skończyło się przesłuchanie ks. Merunowicza.

. . . .

Swiadek p. Seweryn Derżko zaprzysiężony zeznaje: „Przyszedłem do Banku zaraz przy zawiązaniu z Banku włościańskiego. Z początku pracowałem jako urzędnik w oddziale hipotecznym, potem w likwidaturze, a w końcu w oddziale zastawniczym. Z Banku wystąpiłem w październiku 1885 r., a obecnie jestem w dyrekcyi „Narodnej Torhowli“.

Na pytanie przewodniczącego co do manka kasowego i gospodarki wekslowej, p. Derżko oświadcza, że manka datują się od 1880 r., a wekslami manipulował sam Michałko. Co do reeskontu weksli powinna była być uchwała dyrektorów, ale tego nie było. Wiedzieliśmy, że decydował jeden p. Michałko.

Przew. A do reescontu kto brał weksle?

Sw. P. Michałko brał z portfelu.

Przew. A kto wiedział, jakie weksle on bierze?

S w. Michałko wiedział.

Przew. A pan, kontroler, nie powinien był wiedzieć?

Przew. A kasyer mówi, żeś pan wiedział. To widać, że ani kasyer ani kontroler nie miał ewidencyi.

Sw. Mnie Michałko nie mówił, ile bierze weksli. On sam prowadził ewidencyę, ja nic nie wiedziałem.

Przew. Ale pan jako kontroler, powinien był wiedzieć. Cóż to była za kontrola.

Sw. To pewnie Mnie też dla tego takie postępowanie się nie podobało i usunąłem się z kontrolerstwa.

Przew. To może pan wiedziałeś przynajmniej liczbę tych weksli, które Michałko bierze. Kto robił spis tych weksli?

Sw. I liczby nie mogłem wiedzieć, a spis kazał robić sam Michałko.

Przew. A któż mógł wiedzieć, ile weksli wziętych do reeskontu reeskontowano, a ile zwrócono?

S w. To wiedział sam p. Michałko.

. . . .

Swiadek Piotr Podhorecki zeznaje:

Pewnego razu dostałem pocztą nakaz zapłaty na dwa weksle po 1.500 złr., na których byłem podpisany jako wystawiciel, a hr. Koziebrodzki jako akceptant. Bardzo się przeląkłem i pobiegłem za raz do dyrektora Ciepanowskiego, który się roześmiał i powiedział: Czego się pan tak boisz? Bank zapłaci!

Prokurator. A nie mówił panu kiedy Michałko, że pana podpisał na tych wekslach? Przecież byłeś pan u niego domowym nauczycielem.

Sw. Ja mu do tego nie dałem pełnomocnictwa. Przypominam sobie jak przez sen, jak Michałko wspominał mi o tem, że podpisał mię na wekslach hr. Koziebrodzkiego. (Senzacya).

Przew. Czegoś się pan tak bardzo przeląkł gdy dostałeś nakaz zapłaty?

Sw. To było tak nagle.... i na takie wielkie sumy....

Przew. A w stosunkach materjalnych Michałka, będąc tyle lat w jego domu, spostrzegłeś pan zmianę?

Sw. Wielkiej zmiany nie spostrzegłem..... Lampa była piękna... (Wesołość)

. . . . , . . .

Zdaje się, że tych kilka obrazków wystarczy aby nawet Sz. Czytelnik, który niema żadnego pojęcia o bankowości, nabył wyobrażenia, co się działo w Banku ruskim, kryłoszańskim. Jak tam od pierwszego dyrektora aż do ostatniego czynownika odpowiadano zaufaniu i pilnowano grosza publicznego, krwawo zapracowanego przez lud, grosza wdów i sierot.

Zapytujemy wszystkich czytelników, czy się aby jeden znajdzie, któryby uwierzył w prawdę tych zeznań i że rzeczywiście wszyscy dyrektorzy i Rada nadzorcza byli tak ciemni, tak nieudolni, aby tylko jeden Michałko gaspodarował jak szara gęś. Nie — co się działo, działo się wspólnie, a widząc następstwa tej gospodarki, wybrano Michałka, aby on za nich wszystkich odpowiadał.

Z naszej strony dodajemy tylko to jeszcze, że adwokatowi dr. Goreckiemu, który bronił p. Michałka, zapłacił bank ruski za tę obronę.

Ten sam fakt dowodzi, w jakich stosunkach pozostaje bank po dziś dzień do p. Michałka.

Bodaj proroctwo nasze było fałszywe, ale jesteśmy tego przekonania, że fundusze, jakie do banku sprowadził Otec Naumowicz z Rosyi, dadzą się jeszcze ciężko we znaki Rusinom w Galicyi, i bodaj się za późno nie przekonali, gdzie ich ta banda zorganizowana opryszków bez czci i wiary prowadzi i zaprowadzi.

P. Michałko został wyrokiem Trybunału uwolniony od oskarżenia, a skazany tylko Chuwes na 3 miesiące za zbrodnię sprzeniewierzenia z §. 103.

Jak nam donoszą, u p. dr. Dobrjańskiego miał tego wieczora odbyć się wielki „jubel“. Z hukiem wyskakiwały korki z szampanek, a zacni i szlachetni borytele russkawo naroda rzucali się sobie nawzajem w objęcia.

Budowa kolei w kraju.

Zdawać się może, że jesteśmy skazani na to, aby bieda nasza i nędza ekonomiczna potęgowały się nieustannie, a ani jeden promyk słońca nie ogrzewał nas i nie pokrzepił. A przecież jeżeli rzucimy okiem na mapę Galicyi, na której uwidocznione są wszystkie linie wybudowanych i budujących się kolei, to trudno zaiste pojąć, jak się to dziać może, aby tak olbrzymie prace, które pochłonęły wiele milionów, nie przyczyniły się do dobrobytu kraju. O nieudolność do takich prac nie może nas przecież nikt posądzić, a tem mniej uczynić zarzut, bośmy przecież dowiedli przy budowach pierwszych linij, że nie jesteśmy krytynami i zupełnie jest zbytecznem, aby ktoś obcy za nas pracował, i chowając pieniądz do własnej kieszeni wywoził go po za granice kraju. A jednak tak si' działo i tak się dzieje, bo nareszcie oprócz ludu naszego wygłodniałego, który pracuje przy takich przedsiębiorstwach jedynie z łopatą w ręku, a za cenę, za którąby ani Niemiec ani Włoch nie pracował, wszystkie inne siły robocze dostają się przeważnie w ręce obcokrajowców, jeżeli głównymi przedsiębiorcami są im pokrewni duchem i ciałem. Przy oddawaniu przedsiębiorstw nie bywają uwzględniane spółki krajowe nawet takie, które już przy niejednej budowie kolei dowiodły, że im można oddawać z największą otuchą chociażby najtrudniejsze przestrzenie budowy kolei. Takie świadectwa nie idą jednak w rachubę i, nie bywają uwzględniane.

Deprecyonowanie ofert przez obcokrajowców, uniemożebnia sumiennemu przedsiębiorcy zwycięstwo bo też nie może tak postępować, jak jego przeciwnicy, którzy po ukończeniu robót występują z żądaniami odszkodowań na miliony, a pozarywawszy i okradłszy setki, tysiące ludzi, nikną z horyzontu jak kamfora.

Przedsiębiorca krajowiec, gdyby nawet chciał tak postępować, nie może, jeżeli posiada tylko chociaż jeszcze iskierkę honoru, lub ostatecznie pojmuje zmysł osobisty zachowawczy. Zresztą budowa chociażby tylko kolei transwersalnej jest najlepszym dowodem, jak się wywiązują Vondraussery. Pomimo to, Grossy, Knauery, Ronchettowie. Fröhlichy, osadzają się u nas jak we fortecach niezdobytych i biorą prawie wszystko w monopol. A umieją oni tak wszelkie prawa nawet karne obchodzić, że te prawie dla nich nie istnieją. Dowiadujemy się np. od osób wiarogodnych, co się dzieje przy budowie kolei Stryj-Munkacz, czyli tej przestrzeni, którą mają od Skolego zacząwszy taki p. Fröhlich i Spółka. Jeżeli chociaż setna część jest prawdą, to już wystarcza, aby mięć pojęcie, co się tam dzieje. Na tej przestrzeni zapanowali jak w kraju podbitym Niemcy i Włosi; nie ujrzysz tam ani jednego inżyniera, ani jednego krajowca technika, a tem mniej kamieniarza lub murarza, gdyż tecałe siły kierujące robotami i robocze, sprowadzone są von Draussen. Obchodzenie się zaś z ludem zamieszkałym na tej przestrzeni i wyzyskiwanie, ma być oburzające i wstrętne, a aby uniemożebnić ludowi nawet skargi do Sądów i obronę w tychże, pan Fröhlich i Spółka zarekwirowali dla siebie wokolicy prawników, opłacają tychże, a więc ci naturalnie nie mogą bronić przeciwnych stron. O tym fakcie będziemy w możności wkrótce podać dokładniejsze szczegóły. Faktem jednak jest, że lud na tej przestrzeni od Skolego do granicy węgierskiej jęczy z ucisku i wyzyskiwania. Natomiast od Stryja do Skolego, gdzie przedsiębiorstwo jest w ręku krajowców, o nadużyciach takich nie słychać.

Dnia 17. bm. ma nastąpić w Wiedniu otwarcie ofert na budowę linii kolei Lwów-Rawa, na którą to budowę podali oferty i krajowcy, lecz ci mają mało nadziei, aby się przy ofertach swych utrzymali, jeżeli cała legia Vondrausserów, a ciszących się wielkimi wpływami postanowiła i tu wyjść zwycięsko.

Być może, że utrzyma się Spółka, z firmą krajową; ale to znowu będzie jednym dowodem więcej, jak to nasz patryotyzm najmuje się za parawany bezwzględnym wyzyskiwaczom, którzy już krajowi dobrze się dali we znaki.

Taki szyldzik parawanowy przyjmie dla decorum kilku inżynierów, kilku dozorców rodaków, odda z drugiej ręki naturalnie i pewne roboty krajowcom, ale w takich warunkach, jakichby ani żaden Niemiec, ani żaden Włoch nie przyjął. Czy Koło polskie zechce użyć swego całego wpływu i z naciskiem będzie bronić spółek przedsiębiorstw krajowych, o tem się zapewne wkrótce przekonany. Wszelkie nawoływania nic nie pomogą, jak to się było można przekonać przy kolei transwersalnej i innych budowach, a siły krajowe wydane znowu zostaną na pastwę Grossom, Knauerom, Fröhlichom, Ronchettom et tutti quanti.

Jak się dowiadujemy, Rada miasta Lwowa ma się w tej sprawie odezwać, a jest ona do tego najzupełniej uprawnioną, jeżeli i Lwów przyczynił się pieniędzmi do funduszu budowlanego tej kolei.

knota zanurzyła się w roztopionym łoju, wydzielając długim strumieniem dym, zaczadzający to schronisko. W głowach na ścianie widać zawieszony zeschły wieniec laurowy, przypominający widocznie jaśniejsze chwile żywota młodej matki, lub kogoś, co jej drogim był w życiu. Być może, że była słynną artystką, a świat słał wieńce pod jej nogi. W śród wieńca umieszczony stary, bardzo stary krzyżyk z rozpiętym Chrystusem. To już ostatnie dziedzictwo zapewne po rodzicach. — Pozostał dotychczas, bo nie przedstawia realnej wartości.

Dzieweczka na łóżku, może dziesięcioletnia z bujnym ciemnym włosem, rozrzuconym po poduszce, pomimo gorączki w której oczka jej się zamknęły, ma wiele wdzięku, ale tego przedśmiertnego, gdy już duszyczka, tuż, tuż opuścić ma ciało i wznieść się w lepszą krainę.

Jest to straszna chwila dla matki, która już utraciła wszelką nadzieję, i nabyła świadomości, że wychylenie kielicha goryczy do ostatniej kropli, stało się nieuniknionem.

Opuszczona, oprócz do krzyżyka, niema już gdzie zwrócić oczów i błagać pomocy; sama — z umierającym jedynym węzłem, który ją jeszcze wiąże do ziemi, chociaż jeszcze taka młoda. I ona musiała być piękną — ale dziś to już mumia tylko, nieprzytomna, bo i jej myśl i czucie tak samo już wygasły jak ten dymiący knot z wypalonej łojówki.

Niebogaty to w scenerę dramat, ale zawsze przejmuje grozą, jak to mówią do szpiku.

Takie wrażenie ten obraz przynajmniej na nas uczynił. A teraz przystąpmy do jego oceny technicznej. Całość jest troskliwie a nawet poprawnie narysowana, figury w naturalnej wielkości, modelowane z życia, a nie z pamięci lub z manekinów.

Tło całe, akcesorya, dziewczynka są traktowane ze zrozumieniem przedmiotu. Ale artysta niemoże się dotąd jeszcze wyswobodzić i rozgrzać kolorytu ciała tak, aby z niego wiało prawdziwe życie, aby się dała odczuć okiem ta miękość, która w każdym wypadku dopóki mianowicie duch nieuleciał, widocznem było, że to jest żywe ciało. Głowa dziewczynki — powinna być cieplej traktowaną. Mniej ona jednakowoż razi, aniżeli głowa matki. Cała figura jest wdzięczna w rysunku i kolorycie, ręce wypracowane con amore, chętnie oko na nich spoczywa, i głowa dobrze narysowana również nie bez wdzięku, ale natomiast koloryt twarzy, jest tak zimny, taki twardy w dotknięciu, że mimowoli przypomina figurę woskową. Sama zaś charakterystyka tej kobiety jest tak powszednia, tak codzienna, iż żałować należy, że artysta nie poszukał sobie piękniejszego modelu, bo ten go rzeczywiście natchnąć nie mógł. Tu zresztą nie wystarczał już model, jeżeli to miał być obraz, ale własna kreacya.

Dalej się rozpatrując, niezgadzamy się z pomysłem artysty, który do obrazu rodzajowego a tak skromnej sceneryi, zużywa tak wielkich rozmiarów płótna i maluje figury naturalnej wielkości. Z obrazem takim, chociażby znakomicie malowanym, obywa się oko nader szybko i nie zbudza na długo ciekawości. Połowa tej wielkości odpowiedziałaby daleko lepiej. Płótno tych rozmiarów, w obec takiej kreacyi, może być tylko odpowiednie sceneryi dziejowej, a nie z życia codziennego, chociaż tak efektownego tematu .

To też i tej pracy nie można na seryo uważać za obraz w znaczeniu tego słowa, ale po prostu za studium akademiczne z natury. Nic to nam jednak nie przeszkadza, abyśmy byli sprawiedliwi i orzekli, że ta praca znamionuje o wielkim postępie i sumienności p. Grocholskiego. Studyum to zasługuje na uznanie i świadczy bardzo dobrze o przyszłości artysty. Obrazy jego będą bardzo pożądane na wystawach, ale niech dla takich rozmiarów kompozycyj wybiera inne temata.

(C. d. n.)

Interwiew otca Iwana z dr. Wyczosą.

(Z Zerkała).

— Czem też zajmowaliście się ojcze w swem życiu? — zapytał dr. Wyczosa otca Iwana na odjeździe do Wiednia.

— Byłem już wszystkiem — odpowiedział otec Iwan.

— Z wszystkich pieców jadaliście chleb?

— „Da“, byłem wszystkiem i należałem do wszystkich narodowościowych, politycznych i religijnych obozów.

— Zapalcie papierosa i opowiadajcie.

— W 48 roku byłem polskim rewolucyonistą i z pietyzmem patryotnika witałem polskich politycznych więźniów, powracających z Berna i Spielbergu. Za czasów Bacha grałem niefortunną rolę galicyjskiego „Rutеńca“. W b. r. wybrano mię na Sejm, gdzie napisałem socyalistyczną broszurę: Lisy„ i pasowyska“. Potem za namową Wł. Terleckiego bawiłem się tak długo „obrzędowością“ dopóki ś. p. Jachimowicz nie powołał mię ad audiendum verbum. W 68 r. chwaliłem „Proświtę“; w 69 r. byłem pierwszym „ugodowcem“ w obozie marszałka Ławrowskiego, ale po roku plunąłem na wszystko i przystałem do „nieprzejednanych“. Prywatnym sportem moim był spirytyzm. Widziałem u ks. Treszczakowskiego w Gródku duchy w szklankach, wywoływałem je ze stołów, ale zapiski moje spaliły się w Przemyślanach. Potem rzuciłem się na homeopatyę, byłem nawet jakiś czas magnetyzerem i leczyłem ludzi spojrzeniem wzroku. Przytem wierzyłem święcie w sny, przepowiedziałem ogień w Korostnie, karambol na kolei w Wybranówce i śmierć syna ks. Cerkiewicza, któremu zadałem homeopatyczne ziarno 30. potęgi. Następnie redagowałem *Naukę*.

— To bawiliście się także i literaturą? O czemże pisaliście w *Nauce*?

— Z początku o gospodarstwie, bo tę rzecz, zdawało mi się, że rozumiem najlepiej, ale jakoś i we własnem gospodarstwie nigdy mi się końce nie schodziły. Potem puściłem się na pole filologii i historyi.

— I to wy — nie fachowy?

— U nas o to nie pytają. A zresztą była to łatwa rzecz, gdyż polemizowałem o małoruskiej literaturze tylko z ks. Jachimowiczem, porównywałem język małoruski z językiem Fritz Reutera, a gdy Płoszczański zaczął mię za to wynagradzać, to też bałakałem dalej na ten temat.

— Miklositza, Dal-Łuhańskiego, Maksymowicza, prof. Ławrowskiego, czytaliście?

— O, so hoch hab ich nicht studiert! Ja byłem sobie filologiem z Strilcza i pisałem w *Nauce* dla wiejskich wróbli, co się łapią na plewę.

— Proszę jeszcze papierosa, opowiadajcie dalej!

— Na małoruski język zapatruję się, jak nikt z uczonych. Język ten nie zdolny do wyrażenia myśli „knyżnoobrazowanych“ ludzi. Do Piotra Wielkiego pisali wszyscy w staroruskim języku, aż car Piotra zamienił ten język na narzecze narodu. W naszej Galicyi utworzyły się w skutek tego dwie partye: Nestora, oryginalno-ruska i Szewczenki, która jest płodem intrygi Gołuchowskiego. Dlatego w powieści „Ojciec i dzieci“ wyśmiałem „ukraińców“. W r. 79 wróciłem jednakowoż do prostego „słoha“ ale to mi nie przeszkodziło, aby wkrótce potem napaść na ruskich uczonych za „prosty „słoh“. Trzymałem wtedy z Euzebiuszem Czerkawskim, który w Radzie Państwa powiedział, że małoruski język jest „żargonem prostego ludu“. To mi się podobało.

— Pisaliście w *Nauce* w 79 roku, że „my bezzaprzeczenia Małorusy“.

— Bywało i tak, ale z drugiej strony pisałem znowu, że Ruś posiada dwa narzecza: mało- i biało-ruskie, a jeden „obrazowanyj, knyżnyj“ język. Wyrabianie odrębnej mało-ruskiej literatury, uważałem za trud niepraktyczny, bo w Rossyi każde dziecko uczy się w szkole „knyżnoho“ i cerkiewno-słowiańskiego języka. Małoruski język jestto polskie słowo, nabite na ruskie kopyto.

— Przecież pisaliście także, że Nestor był ukraińcem-małorusem i znał „swój rodzinny język“ a nie narzecze?

— Wtenczas, zdaje się, potrzeba było tak napisać, nie przypominam sobie. Zresztą w różnych czasach miałem też i różne poglądy. Naprzykład mówiąc, w 84 r. chwaliłem małoruski „język“, że jest śpiewny, że „Mała Ruś“ posiada „piękną literaturę“ i t. d., a w 85 r. powiedziałem znowu, że małoruski język jest tylko narzeczem, które się w Galicyi polszczy, a na Ukrainie moskiewszczy. Raz nawet palnąłem sobie, że język nasz sięga od Bosforu po Żółte morze.

— I wasi czytelnicy wierzyli wam?

— Ja byłem dla nich rabinem.

— Pobieraliście na *Naukę* subwencyę z austryackiego „Reptilien-Fondu?“

— 1600 zł. rocznie. Ale za to pisałem wtenczas życiorysy Józefa II., Maryi Teresy i innych członków habsburskiej dynastyi.

— A po roku 1879, gdy wam odebrano subwencyę?

— Wtenczas opowiadałem włościanom ustami szewca Wincentego, że u nas licytują Banki grunta włościańskie, a w Rosyi po zniesieniu pańszczyzny obdzielono włościan bogato dziesięcinami ziemi; że nawet w Syberyi powodzi się ludziom dobrze, bo Moskal daje ziemi ile kto zechce, konie, byki, pługi, brony, uwalnia ludzi od wszelkich podatków i mówi: „jedzcie, pijcie i weselcie się!“ Pisałem nawet, że w Rosyi, widząc jak kozacy rozpoczną „swoju dżygytowku“, człowiek aż ogłupieje, że tam kozacy na koniach swych „wydyrkujut“, nie płacą carowi podatku i nie pytają, czy to moje, lub cudze, ale biorą co zechcą.

— A w sprawach wiary jakie wasze zapatrywanie?

— Jakie chcecie! W 60 r. byłem obrzędowcem, potem chwaliłem luterskich pastorów, w 76 r. napisałem w *Nauce*, że my stoimy na stanowisku unickiem, ale czasem i coś takiego palnąłem, za co „Syon“ nabrał mię z góry. Wtenczas zaraz w następującym Nrze napisałem, że już się poprawię.

— I poprawiliście się rzeczywiście?

— Potem wyszczerzyłem zęby Rzymowi i miałem za to proces bardzo korzystny, gdyż dziś żyję lepiej jak na parochii.

— Wy teraz prawosławny?

— Ta niby tak, z konieczności. Teraz mi z tem dobrze. Pobiedonoscew lubi mię, dzieci moje mają chleb, a ja sobie jeżdżę w różnych interesach to do Rossyi, to do Wiednia za cudze pieniądze, bo swoich nie mam ani kopiejki.

— Jakież wasze plany na przyszłość?

— Nie wiem jeszcze. Ot kręcę się po świecie! Z wiosną pojadę może na Ukrainę, nawracać „sztundzistów“, choć boję się buków, a teraz jadę do Wiednia, aby bodaj kilku Czechów pozyskać dla prawosławia.

— Czy płacą wam za to?

— Versteht sich! Może Kalinka brać za katolicyzm, to ja biorę za prawosławie. Tak, tak pania Wyczoso, ziemia się kręci, to i nam trzeba kręcić, aby tylko dalej...

— A sumienie?

— Nie znam tego towaru... Zresztą dajcie mi lepszy chleb, to i w wasze dudy poduję.

— Proszę przynajmniej papierosa.

— „Oczeń błagodarju!“

— A jakie wasze zapatrywania polityczne?

— Darujcie: Schweigen ist Gold i ja nie głupi złożyć siwą głowę w „Iwanowej chacie“.

— Przynajmniej siwe włosy szanujcie.

— Kiedyżbo bardzo smaczny lekki chleb!

— Jedźcie zdrowi! — Papierosa na drogę!...

Sprawozdanie targowe.

Nie myliliśmy się wcale twierdząc w przeszłych naszych doniesieniach, że ceny zboża muszą iść w górę; śledząc bowiem nasze stosunki krajowe, przekonani jesteśmy że zasoby nasze są nie wystarczające. I oto już dzisiaj przyszło do tego, że północno-zachodnia część Galicyi musi dopomagać ziarnem swojem tej jednej z najżyźniejszych części innego kraju to jest Pokuciu. W przeszłym bowiem tygodniu widzieliśmy na dworcu lwowskim wagony zboża przeznaczone do stacyi Kołomyji.

Wiadomości z zagranicy nadchodzące, donoszą o stałem usposobieniu w handlu **pszenicy**. Na giełdzie w Londynie nie zrażają się wcale doniesieniami z Ameryki o wielkich zapasach pszenicy, ceny więc tam trzymały się stale, dowiedziano się tam bowiem dobrze, że zapasy te potrzebują Amerykanie dla swoich wewnętrznych dalej od morza położonych Stanów, w których już dzisiaj brak chleba uczuwać się daje.

Rynki targów zbożowych północnych Niemiec a mianowicie Berlin, po krótkotrwałem chwiejnem usposobieniu musiał ustąpić nadeszłym wiadomościom z Anglji i w ubiegłym tygodniu na berlińskiej giełdzie wyższe notowano ceny. Srodkowe i południowe Niemcy nie wielkie swoje zasoby wysyłają do Szwajcarji. Węgrzy korzystając z coraz bardziej ożywiającego się ruchu w Rice, wysyłają swoje zboże do Włoch a nawet mąkę do południowej Ameryki.

U nas — nie łudźmy się — zboża mało, bodaj czy wystarczymy do nowych zbiorów na swoje własne potrzeby, tym więcej, że młyny nasze wysyłają wyborne gatunki mąki a mianowicie Nr. 00, 0 i 1. do królestwa polskiego, gdzie mąka ta bardzo jest lubianą i zdaje się wypychać z targów swoich mąką rosyjską.

Ceny pszenicy obecnie są od arf. 8.25—9. za 100 kilo, netto, loco Lwów.

Żyto za granicą uległo maleńkiej zniżce; u nas za trzyma się w cenie i płacono stosownie do jakości i ilości towaru od fr. 5.90 do 6 25.

Jęczmienia również mamy mało, węgierskiego nie opłaca się sprowadzać, za morawski żądają zbyt wysokie ceny a z Rumunji nie mamy prawie dowozów. Za 100 kilogramów jęczmienia na paszę można osiągnąć fr. 5 do 5.75. za tyleż do siewu od fr. 6—7.25. a nawet i więcej.

O **Owies** piękny do siewu zewsząd się zapytują. Go szego gatunku na paszę tak mało, że gospodarze zastępować go muszą **bobikiem i kukurudzą**.

Owies do siewu dochodzi do ceny arf. 8. na paszę arf. 6.50. bobik arf. 6.25 do 6.50. kukurudza arf. 5.75 do 6.25. Wszystko za 100 kilo, na stacyi Centralny dworzec koleji Karola Ludwika lub Czerniowiecki we Lwowie.

Groch płaci od fr. 6.—10.

Nasiona olejne zupełne zaniedbane, natomiast nasiona pastewne a mianowicie **koniczyna czerwona i tymotka**, cieszą się ciągle dobremi cenami. Nie tylko bowiem Niemcy i Dania ale nawet i Anglia nadsyłają zlecenia do zakupna pięknego nasienia.

Na targu lwowskim dzisiaj płacono:

Pszenica gotowa		8·—	do	9·—
Żyto gotowe		5·55	„	6·25
Owies		6·25	„	6,75
Jęczmień		5·50	„	7·50
Rzepak		8·50	„	10.10
Groch		6·—	„	10·50
Wyka		6·50	„	7·70
Bobik		6·25	„	6·50
Hreczka		8 25	do	9·—
Kukurudza		5·—	„	7·—
Koniczyna czerwona		45·—	„	55·—
„ biała		42·—	„	59·—
„ szwedzka bez odbiorcy		40·—	„	58·—
Chmiel za 56. Klg.	od	5·—	„	10.—
Spirytus przy lepszem usposobieniu za 10.000 litr. prc.		24·—	do	24·50

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego